

GRUPA

1984
PAŹDZIERNIK

NR
ROK III

10



PO RAZ PIERWSZY NA ŁAMACH „GRYFA”

WP

WACŁAW POMORSKI

Mieszka w Bytowie, gdzie pracuje w Miejskim Domu Kultury jako instruktor ds. plastycznych. Absolwent Studium Nauczycielskiego w Szczecinie. Członek Słupskiego Klubu Młodych Pisarzy.

Jest twórcą wszechstronnym. Najpierw wyrażał siebie w malarstwie, grafice i rzeźbie. Brał udział w wystawach zbiorowych:

1970 r. Warszawa — ogólnopolska wystawa malarstwa amatorskiego,
1970 r. Kraków — wystawa malarstwa olejnego,
1971 r. Łódź — ogólnopolska wystawa grafiki amatorskiej,
1972 r. Szczecin — wystawa plastyczna Ziemi Zachodnich i Północnych,
1973/74 CSRS, NRD, FRANCJA — wystawy zbiorowe.

W latach 1974—81 brał udział w wielu wystawach indywidualnych i zbiorowych, m.in.: rysunków pt. „Dziecko w szkicach” i malarstwa olejnego pt. „Morze”, a także cyklu grafik i linorytów.

W roku 1976 debiutował jako poeta w audycji literackiej na antenie Polskiego Radia w Koszalinie. Natomiast w prasie debiutował w 1978 roku na łamach „Głosu Pomorza”. Jego utwory drukowane były w prasie ogólnopolskiej i regionalnej.

W wierszach dość często nawiązuje do mitologii i przekazów biblijnych, które są dla niego inspiracją do przedstawienia człowieka uwikłanego w różnorodne problemy świata współczesnego. Píše spontanicznie, pod wpływem konkretnych przeżyć. Jak sam o sobie mówi, jest „poetą chwili”. Nie uznaje tworzenia „na siłę”, bez emocjonalnego utożsamiania się twórcy z podmiotem literackim. Mówi o rozdarcie wewnętrznym człowieka. O jego ubezwłasnowolnieniu moralnym. Pyta wyprost: „ile w nas tkwi jeszcze ile pozostało/ ile abla/ ile kaina.../”. Ukazuje cykliczność (i potrzebę) powrotów człowieka do miejsc oczyszczenia. W innym wierszu stawia pytanie: „...jakie myśli skażesz/ na pośmiewisko — od czego się/ odżegnasz w co na powrót/ uwierzysz/”. Są to wiersze gorzkie, ale nie pesymistyczne. Przeciwnie w innym utworze Pomorski pisze: „...Lecz kiedy już nie ma się czego/ chwycić — często wyrasta w nas drzewo/ trwalsze od skały/ nadzieja”, a dalej ujawnia swoją, optymistyczną na wskroś, wizję egzystencji człowieka: „W końcu zwycięża/ ostatnie SŁO- WO”.

Mottem jego wielu wierszy mogą być słowa Edmunda Osmańczyka:
„Nie ma prawdy, która nie boli.
Nie ma kłamstwa, które nie szarga”.

STEFAN MILER

GRYF

WOJEWÓDZKI
INFORMATOR
KULTURALNY

SŁUPSK ■ PAŹDZIERNIK ■ 1984 r.

W NUMERZE:

PREZYDENT SŁUPSKA ROZMAWIA
O KULTURZE ZE ZBIGNIEWEM JANI-
SZEWSKIM • O ZWIERCIADLE POL-
SKIEJ PIANISTYKI, CZYLI FPP PISZE
MIROSLAWA MIRECKA • OPINIE KU-
RATORA O SZKOLE, UCZNIACH I NA-
UCZYCIELACH ZANOTOWAŁA ANNA
RACZYŃSKA • JAK UZDROWIĆ
SZKOLNICTWO WIEJSKIE ZASTANA-
WIA SIĘ ZBIGNIEW JANISZEWSKI •
O WESTERNIE I BURLESCE PISZE
JAN SROKA • MODA NIE MOŻE
BYĆ BEZREFLEKSYJNYM NASŁADOW-
NICTWEM — TWIERDZI ANNA RA-
CZYŃSKA • WRAŻENIAMI Z PLENE-
RU W DĘBNICY KASZUBSKIEJ DZIELI
SIĘ CZESŁAW GOMULKIEWICZ •
CZŁOWIEKA, KTÓRY PISZE BAJKI
PRZEDSTAWIA ZBIGNIEW BABIAŹ-
ZYCH • MŁODZIEŻOWY DOM KUL-
TURY PREZENTUJE I Z ANNA ŁAJ-
MING ROZMAWIA JOLANTA NITKOW-
SKA • PIERWSZE LATA W POMO-
RZANCIE WSPOMINA KAZIMIERZ
KWIECIEŃ • SZTUKA NIE ISTNIEJE
W PRÓŻNI — DOWODZI ANDRZEJ TUR-
CZYŃSKI • CO PRZYDARZYŁO SIĘ
ROZNEGLIZOWANEJ PANIENCE OPO-
WIADA ANATOL ULMAN • PONADTO:
KRONIKA, REPERTUARY I DUET
KRZYŻÓWKOWY.

Rozmowa
z Prezydentem
Słupska
Antonim
Bernatowiczem

...aby powstał głód kultury

władza. I tutaj wszystko już za-
elacji zachodzących między stro-
y na przykład twórcy wywiązują-
pełnią ze swych zobowiązań wo-
czeństwa — jeśli tu o zobowią-
można mówić — czy społeczeń-
w stanie lub czy chce skonsu-
ytworzone dobra kulturalne... Bo,
n, można organizować koncerty
wysokim poziomie artystycznym,
dowiskowa może być pusta! Tak
ło. Zresztą nigdy na koncertach
ch sale w Słupsku nie są wy-
Owszem, pewną presję na nas
środowisko melomanów, gdyż ta-
nieje — przecież jest związane
muzyczną, z teatrem, z orkie-
ońcu przez 18 lat trwania Festi-
nistryki Polskiej wychowaliśmy
muzyki, jednak w innych dzie-
kultury nie obserwujemy presji

PO RAZ PIERWSZ

WP **WACŁAW**

Mieszka w Bytowie, gdzie instruktor ds. plastycznych w Szczecinie. Członek Słupska

Jest twórcą wszechstronną grafice i rzeźbie. Brał udział w 1970 r. Warszawa — ogólnopolska, 1970 r. Kraków — wystawa, 1971 r. Łódź — ogólnopolska, 1972 r. Szczecin — wystawa, 1973/74 CSRS, NRD, FRANK

W latach 1974—81 brał udział w zbiorowych, m.in.: rysunek olejny pt: „Morze”, a także

W roku 1976 debiutował w Polskiego Radia w Koszalinie na łamach „Głosu Pomorza ogólnopolskiej i regionalnej.

W wierszach dość często pojawiają się dla niego inne problemy w różnorodny sposób pod wpływem konkretnych chwil. Nie uznaje tworzenia się twórcy z podmiotem literatury. O jego ubóstwie w nas tkwi jeszcze ile pozostać (i potrzebę) powrotów do wiersza stawia pytanie: „...czego się/ odżegnasz w co nie ma ale nie pesymistyczne. Przecież kiedy już nie ma się czego, trwalsze od skały/ nadzieja wokoło, wizję egzystencji czy WO”.

Mottem jego wielu wierszy „Nie ma, Nie ma k

WYDAJE: Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne „Pobrzeże” w Słupsku.

ADRES REDAKCJI: 76-200 Słupsk, ul. Zamenhofska 1, tel. 83-13, 33-05.

KOLEGIUM REDAKCYJNE: Czesław Gomułkiewicz, Ryszard Hetnarowicz, Urszula Mączka, Andrzej Szulc, Andrzej Turczyński.

REDAGUJĄ: Waldemar Pakulski — redaktor naczelny (tel. 24-56) i Elżbieta Poturaj — sekretarz i oprac. techniczne (tel. 43-81). Zdjęcia barwne i cz.-b. — Jan Maziejuk. Korekta — Aleksander Lewoń.

Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca, zastrzega sobie również prawo ich skracania. Opinie przedstawiane w „Poczcie” nie zawsze są zgodne z poglądami redakcji.

Na okładce:

— Młodzieżowy Dom Kultury w Słupsku
— Doroczny jarmark folklorystyczny w Bytowie uświetniają występy zaproszonych zespołów ludowych

WARUNKI PRENUMERATY: kwartalna — 45 zł, półroczna — 90 zł, roczna — 180 zł. RSW „Prasa-Książka-Ruch”, 76-200 Słupsk, Al. Sienkiewicza 7. Konto — NBP 77002-794 Słupsk, nr indeksu 5966. Wpłaty od jednostek gospodarki uspołecznionej, instytucji, organizacji przyjmują miejscowe oddziały RSW i ekspozytury lub urzędy pocztowe w miejscowościach, w których nie ma placówek RSW. Nabywcy indywidualni opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych na podane konto i numer indeksu oraz adres.

DRUK: Poligraficzna Spółdzielnia Pracy w Słupsku. Nakład 1000 egz. format B-5. Zam. nr 2922. Druk barwnej okładki: Prasowe Zakłady Graficzne w Koszalinie. P-3.

Cena 15 zł



— Panie Prezydencie czy zgadza się pan z sądem, że przeminęła już sława Słupska jako miasta, w którym pulsowało życie kulturalne i w którym gastronomia serwowała najsmaczniejsze dania podawane przez najpiękniejsze kelnerki?

— Absolutnie nie. Poważny regres może dotyczyć rzeczywiście gastronomii, jednak w dobie kryzysu każda polska kuchnia ma ograniczone możliwości. Jeśli jednak w przypadku gastronomii można operować w dyskusji pewnymi uproszczeniami, to z kulturą trzeba ostrożniej. Przed sformułowaniem ostatecznego sądu należy poważnie zastanowić się. Bo na tym polu występują z jednej strony sami twórcy dóbr kulturalnych — a więc plastycy, aktorzy, muzycy, pisarze — z drugiej strony odbiorcy lub organizatorzy samego odbioru, a więc, jak to się popularnie mówi,

**Rozmowa
z Prezydentem
Słupska
Antonim
Bernatowiczem**

**...aby
powstał
głód
kultury**

miejska władza. I tutaj wszystko już zależy od relacji zachodzących między stronami. Czy na przykład twórca wywiązuje się w pełni ze swych zobowiązań wobec społeczeństwa — jeśli tu o zobowiązaniach można mówić — czy społeczeństwo jest w stanie lub czy chce skonsumentować wytworzone dobra kulturalne... Bo, widzi pan, można organizować koncerty o bardzo wysokim poziomie artystycznym, a sala widowiskowa może być pusta! Tak też bywało. Zresztą nigdy na koncertach muzycznych sale w Słupsku nie są wypełnione. Owszem, pewną presję na nas wywiera środowisko melomanów, gdyż takowe istnieje — przecież jest związane ze szkołą muzyczną, z teatrem, z orkiestrą, w końcu przez 18 lat trwania Festiwalu Pianistyki Polskiej wychowaliśmy odbiorcę muzyki, jednak w innych dziedzinach kultury nie obserwujemy presji

społecznej, powiedzmy obligującego nas za-
potrzebowania choćby na teatr, widowiska
baletowe, chóry z ambitnym ale trudnym
repertuarem...

— Czy taki stan rzeczy kojarzy pan
z konkretną sytuacją gospodarczą, a co za
tym idzie i społeczną?

— No cóż, każdy wie, że związki za-
wodowe, jeszcze te sprzed niepokojów spo-
łecznych, łożyły niebagatelne środki na
działalność kulturalną, że te krytykowane
rady zakładowe utrzymywały lub inspiro-
wały działalność licznych zakładowych
domów kultury, świetlic. Niestety, wiele
tych placówek zniknęło z mapy kultural-
nej nie tylko naszego miasta ale i woje-
wództwa. Może będzie to zaskakująca wia-
domość dla wielu nieorientowanych, ale
tylko jeden z naszych zakładów przemy-
słowych, „Loton”, przekazał w tym roku
niewiele grosza na kulturę...

— Przecież dysponujecie uruchomio-
nym niedawno Funduszem Kultury i Sztu-
ki...

— Ba, gdybyśmy mogli, zgodnie z usta-
wą o tym funduszu, dysponować kwotą
odprowadzaną ze słupskiej gospodarki, to
rzeczywiście nasze możliwości byłyby
większe. Odpis, który trafia do nas z Wo-
jewódzkiego Funduszu Kultury wystarcza
zaledwie na utrzymanie MOK.

— Czy sensowne więc jest utrzymy-
wanie ogromnych i pewnie kosztownych
impres o charakterze ogólnopolskim, ta-
kich jak festiwal pianistyczny, Słupskie
Dni „Sportu”, Dni Słupska. Pewnie orga-
nizowane są kosztem wielu imprez na
przestrzeni roku? Na przykład plotka po-
wiada, iż sprowadzenie czterech drużyn
judoczek kosztowało kasę miejską więcej,
niż cały festiwal pianistyczny!

— Na szczęście to tylko plotka. Acz-
kolwiek dzięki temu, iż kiedyś sprowa-
dziliśmy kilka dobrych siatkarek i zało-
żyliśmy własną szkołę siatkarską, mamy
drużynę z tytułem wicemistrza Polski i
dzięki temu również o naszym mieście
głośno w kraju tak jak i dzięki festiwa-
lom, o których pan wspominał, dzięki
Słupskim Dniom „Sportu”. Tu właśnie
przyszła czas na stwierdzenie, że nasze
miasto słynie w kraju ze sportu i z ini-
cjatyw kulturalnych.

Teraz znów wróćmy na chwilę do
brzydkiego tematu — do pieniędzy. Otóż
Festiwal Pianistyki Polskiej, podczas któ-
rego sale koncertowe wypełnione są po
brzeży, bo występują nie tylko młodzi ora-
wdzający swe siły artyści, ale już uznani
na świecie wykonawcy wirtuozji, otóż ta
wielka i jedyna w kraju impreza nie
kosztuje kasy miejskiej prawie nic. Miej-
scowi działacze kulturalni organizują
wszystko społecznie, my płacimy tylko de-

legacje i honoraria za koncerty. Ale po-
wiem, iż chętnie zapłacimy za każdym ra-
zem, gdy u nas zechce wystąpić Regina
Smendzianka, Elżbieta Stefańska-Luko-
wicz czy Włodzimierz Obidowicz, Nagrody
na festiwalu fundowane są natomiast
przez różne instytucje współorganizujące
imprezę. Wreszcie te wielkie pieniądze,
które według „plotki” wspomnianej przez
pana wydajemy na sport... Proszę przeli-
czyć, na przykład, bilans meczu „Czarni”
— „Legia”, na który przyszło ponad 3 ty-
siące miłośników boksu i każdy zapłacił
za bilet 500 złotych... Albo mecz Polska —
Turcja. Takich mocno kasowych imprez
sportowcy organizują wiele. Podbudowali
też swój budżet „Czarni” urządzając w
okresie letniej przerwy bardzo uczęszcza-
ną dyskotekę. Wreszcie kwestia czy takie
imprezy blokujące w sobie mnóstwo wy-
darzeń sportowych, kulturalnych nie rzu-
tują na roczny kalendarz życia społeczne-
go w Słupsku. Nie ma tygodnia, by prasa
nie donosiła o spotkaniu z artystą, o reci-
talu, koncercie... Oby tylko słupszczanie
korzystali z ofert. Trzeba jednak powie-
dzieć, na ich usprawiedliwienie, że dużo
czasu muszą poświęcać dzisiaj sprawom
przysiężnym. Te kolejki w sklepach, pra-
ca po godzinach, by dorobić do skromnej
pensji...

— Wspomniał pan, iż uszczupliło się
wyraźnie zaplecze słupskiej kultury, gdyż
ubyło z niego wiele placówek finansowa-
nych przez zakłady pracy, a i przecież u-
rosły dwa osiedla mieszkaniowe, w któ-
rych nie ma domów kultury czy klubów...
Jakie są zamierzenia władz miejskich w
tym względzie, czy w najbliższych planach
jest odbudowa zaplecza, a nawet jego po-
większenie?

— Miejska Rada Narodowa oddziałuje
już na zakłady pracy i zapewne skłoni
niektóre z nich, jeszcze w tym roku, do
odnowienia poczyniń zakładowych placów-
ek kulturalnych. Jak wiadomo, budowa-
na jest sala prób przy teatrze dramatycz-
nym, myślimy o nowym obiekcie dla
„Tęczy”, o domu kultury na Osiedlu Bu-
downiczych Polski Ludowej, kinie dla
Zatorza. Realizowane już jest młodzieżo-
we centrum kultury i liczymy, że w 1986
roku będzie oddane do użytku. Myślę, że
dobrym prezentem dla mieszkańców Słup-
ska będzie kino — gigant urządzone w
hali „Gryfia”. Wreszcie też własnego lo-
kalu doczeka się już niedługo teatr „Ron-
do”. Mimo że tak zwana „koldra” jest za
krótka naciągamy ją w stronę najpilniej-
szych potrzeb. Przecież już rozpoczęliśmy
z inicjatyw wojewody ślaskiego rea-
lizację obiektów w Parku Kultury i Wy-

poczynku — powstanie tam sztuczne lo-
dowisko i basen. Czy wobec przedstawi-
onych przeze mnie faktów można powie-
dzieć, iż życie kulturalne w Słupsku za-
miera lub przechodzi poważny regres?
Korzystając jednak z okazji chciałbym po-
wiedzieć o innym aspekcie życia społecz-
nego na naszych osiedlach. A właściwie
pod adresem ich mieszkańców pragnę
zadać pytanie: Jak to się dzieje, że pod-
czas jednej nocy wandalę potrafią znisz-
czyć wszystkie posadzone na osiedlu
drzewka? Porozrywać instalację w budce
telefonicznej, wymontować drzwi wejścio-
we budynku i zabrać je? Myślę, że te mo-
menty warto również wprowadzić do kraj-
obrazu kulturalnego naszego miasta. Po
prostu myślę, że w chwili, gdy już nikomu
nie będzie przychodziło do głowy, by bez-

myślenie niszczyć, zapotrzebowanie na
autentyczną kulturę — nie tylko realizo-
waną przez zamówioną imprezę — na
współudział w życiu kulturalnym będzie
nieporównalnie większe. Oczywiście, do
procesu wychowania społeczeństwa mło-
dych ludzi wywierających na miejskie
władze presję, wywodzącą się z niezaspoko-
jenia kulturalnego, musi się przyczynić
szkoła, instytucje wychowawcze, organiza-
cje młodzieżowe, wreszcie zakłady pracy,
rodzice. Twierdząc, iż możliwości kultural-
ne są, my musimy walczyć, aby powstał
wreszcie społeczny głód kultury. Wtedy
odniesiemy na tym polu sukces.

— Dziękuję za rozmowę.

Zanotował
ZBIGNIEW JANISZEWSKI

Muzyczna feta

MIROSŁAWA MIRECKA

Kiedy tekst ten dotrze do czytelników,
tegoroczny Festiwal Pianistyki Polskiej
będzie imprezą przebrzmiałą, wszak życie
z każdym dniem niesie nowe emocje,
ewentualności.

1 października — na całym świecie
trwać będą obchody Międzynarodowego
Dnia Muzyki, który jest najlepszą okazją
do wydobywania z dorobku muzycznego,
co piękne i ważne.

Festiwal Pianistyki Polskiej od osiem-
nastu lat jest jedyną imprezą w kraju,
stwarzającą możliwość konfrontacji tak
dużej liczbie pianistów i klawesynistów.
Stał się wiernym zwierciadłem polskiej
pianistyki, ale też impulsem do jej odra-
dzania się, a nawet instrumentem do
przewartościowania panujących w niej u-
kładów. W ciągu osiemnastu lat na słup-
skiej estradzie koncertowało ponad 200
solistów klawiatury. Zdolał więc FPP od-
słonić blaski i wieloznaczność polskiej
pianistyki, pokazać mistrzów forte-
pianu, pianistów średniej miary i genera-
cję wstępującą dopiero na estradę. Wy-
starczyło bacznie obserwować słupskie
prezentacje, żeby nacznie doświadczyć jak
pod boki „Pokolenia 49” — laureatów
pierwszego powojennego Konkursu Cho-
pinowskiego, którzy na lata zdominowali
estrady — odradzała się grupa artystów

„zapomnianych”. Jak wschodzący nowe
olśniewające gwiazdy. Jak wreszcie to
młode pokolenie zaczęło pokazywać się
coraz liczniej, by znaleźć się w centrum
zainteresowania krytyki i na afiszach zna-
czących filharmonii.

Nie sposób byłoby wyrokować o pożytku
tej imprezy na przykładzie jednego rap-
tem ośmiodniowego przeglądu — żeby nie
uczynić krzywdy samemu festiwalowi i
polskiej pianistyce. Każda edycja FPP jest
kolejnym krokiem rozpoznawczym w sy-
tuacji życia pianistycznego i nieocenioną
szansą dla wielu, zwłaszcza młodych wy-
konawców. Nie zdarzył się też ani razu
festiwal, który okazałby się niewypałem
pod względem artystycznym. Choćby bra-
kowało uznanych gwiazd. A bywa — że
niemał każdy jego koncert jest ucztą mu-
zyczną. I takich festiwali nie brakowało.
Taki też był ostatni XVIII Festiwal Pia-
nistyki Polskiej.

Rozpoczął się od dwóch, nie odtwarza-
nych dawno na żywo, koncertów polskich
kompozytorów — II fortepianowego c-moll
Henryka Melcera i I koncertu fortepiano-
wego fis-moll op. 3 Zygmunta Stojowskie-
go. Zwłaszcza utwór Stojowskiego został
przyjęty jako wydarzenie, choć obydwie
niezwykle trudne koncerty zostały zapre-

zentowane w bardzo dobrym wykonaniu Józefa Stompla przy fortepianie i Orkiestry Symfonicznej Państwowej Filharmonii w Białymstoku pod dyktando Tadeusza Chachaja. Zamknęła tegoroczny festiwal artystka zadziwiająca — gdyż trwa to niezmiennie od wielu wielu lat — wirtuozerią i wrażliwością muzyczną, Regina Smendzianka. Zagrała trzy koncerty, w tym jeden — IV koncert fortepianowy A-dur Jana Sebastiana Bacha — bez dyrygenta, sama prowadząc orkiestrę od fortepianu. Solistce towarzyszyła bez zarzutu Słupska Orkiestra Kameralna, nieco wzmocniona „obcymi” smyczkami, w dwóch pozostałych utworach — koncercie Beethovena i Chopina — pod batutą artystycznego szefa Zdzisława Siadłaka. Huczne brawa, jakie rozległy się z każdego miejsca wypełnionej po brzegi widowni, nie były kurtuazyjnym podziękowaniem dla zasłużonej pianistki. Oddano w ten sposób hołd arcypięknym dziełom klasyków, ale i najwyższemu kunsztowi polskiej damy fortepianu.

„Środek” wypełniły recitale fortepiano-we, klawesynowe i kameralistów oraz popisy na „Estradzie Młodych”. Spośród artystów występujących w głównym nurcie FPP większość zaprezentowała doskonały poziom. Raz jeszcze potwierdził swoją klasę niezrównanego wykonawcy utworów Bacha — Włodzimierz Obidowicz z Wrocławia, chociaż nie mniejsze umiejętności techniczne i dojrzałość artystyczną wykazał także w Sonacie B-dur Schuberta i granych ad hoc w nagłym zastępstwie utworach Chopina. Podobnie olśnił grą kameralną recital Elżbiety Stefańskiej-Łukowicz, naszej czołowej klawesynistki i towarzyszącego jej na flecie Kazimierza Moszyńskiego. Najwyższą perfekcję pokazał Śląski Kwartet Smyczkowy wraz z pianistą, który zasłużenie robi karierę na koncertowych estradach świata, Eugeniuszem Knapikiem. Bardzo udany występ pod każdym względem dała klawesynistka Magdalena Ekielska-Myczka. Z sympatią publiczność powitała, po dwóch latach przerwy, duet dwufortepianowy. W tym roku interesujący program, w którym znalazło się arcydzieło muzyczne — Sonata D-dur Mozarta, na dwa fortepiany odegrali: Anna Maria Stańczyk i Tadeusz Chmielewski. Niecodziennym wydarzeniem stał się zaaranżowany „na gorąco” z powodu nagłej niedyspozycji Włodzimierza Kutrzeby, recital, w którym wystąpił wspomniany Włodzimierz Obidowicz, a także Andrzej Jasiński renomowany pianista i pedagog. Całość, poprowadzona umiejętnie przez Józefa Kańskiego, wypadła znakomicie, o czym świadczyły gorące owacje publiczności.

Niestety, odmiennych wrażeń dostarczył wieczór z Aldoną Dvarionaję, którą

„ściągnięto” w ostatnim momencie, w związku z odmową przyjazdu na festiwal Barbary Grajewskiej, polskiej pianistki zamieszkającej w Holandii. Jak zauważyli znawcy — Aldona Dvarionaję dobrze grała jedynie partie nie wymagające umiejętności technicznych, co zawdzięcza naturalnej wrażliwości muzycznej. Niewątpliwie atutem jej recitalu było wykonanie nie znanych publiczności festiwalowej dziesięciu miniatur swojego ojca, litewskiego cenionego kompozytora.

Nie „sprawdził” się na estradzie, która przed laty wyróżniła go laurem — Andrzej Pikul. Przybył na festiwal niemal wprost z tournée po Włoszech z orkiestrą Jerzego Maksymiuka. Ale fakt koncertowania z wybitnymi kameralistami nie usprawiedliwia bynajmniej nie przygotowania się do występu w Słupsku. Na „Estradzie Młodych” występowali studenci lub niedawni absolwenci uczelni muzycznych. Nie udał się popis Teresie Czeka, uczennicy Zbigniewa Szymowicza, bardzo uzdolnionej skądinąd młodej pianistce. Jak stwierdził Jerzy Sulikowski w publicznej recenzji, prawdopodobnie zawążył na tym niezbyt szczęśliwy dobór repertuaru muzycznego. Grana jako pierwsza Sonata As-dur op. 110 L. Beethovena była utworem za trudnym, co zemdliło się potem na interpretacji sonaty Skriabina. Nie znalazła też uznania Zespołu Opiniującego jedyna klawesynistka z grupy młodych Maria Machnikowska. Pozostała szóстка swoją grą „zarobiła” na miano laureatów „Estrady Młodych”. Publiczność nie w pełni zgodziła się z krytykami, bowiem występ nagrodzonej wśród innych Moniki Rosci, w jej ocenie nie zasługiwał na wyróżnienie.

Natomiast wszystkich olśnił talentem i umiejętnościami Paweł Skrzypek, najbardziej doświadczony uczestnik „Estrady Młodych”, który dyplom wyższej uczelni otrzymał już w 1977 r. Doskonalił się potem u prof. Ryszarda Baksta w Londynie, co zaowocowało pierwszymi nagrodami na dwóch międzynarodowych konkursach pianistycznych w Wielkiej Brytanii. Niestety, ani laury konkursowe, ani nagrania dla brytyjskiej rozgłośni, też występy w Hiszpanii, Włoszech i USA nie stanowiły dostatecznej rekomendacji dla młodego uzdolnionego pianisty, żeby wykorzystala go krajowe filharmonie. Przypadek Pawła Skrzyпка szczególnie wyraźnie ukazuje rangę słupskich festiwali, które są drugą po Konkursie Chopinowskim estradą dla wschodzących „jaskółek”. Dzięki FPP przez rok przynajmniej wart pokazania pianista nie będzie musiał zabiegać o koncerty. W ramach tzw. pomocy naukowych otrzymał udział w nagraniu płytowym

Kroniki XVIII FPP, recital na jubileuszowym XX Festiwalu, udział w nagraniu TV, występ w jednym z ośrodków kultury polskiej za granicą, recital organizowany przez Towarzystwo im. F. Chopina, cykl występów aranżowanych przez Krajowe Biuro Koncertowe, rekomendację filharmoniom i PAGART-owi.

Duże nadzieje wiązały znawcy również z Włodzimierzem Skoniecznym, absolwentem Akademii Muzycznej w Warszawie i Mariuszem Danilewskim jeszcze studentem tej uczelni. Należy sądzić, że przyznane im „nagrody” pomogą w spełnieniu tych oczekiwań krytyków i publiczności. W gronie laureatów „Estrady Młodych” znalazły się ponadto dwie młode pianistki — Mariola Cieniawa, studentka prof. Tadeusza Zmudzińskiego z Akademii Mu-

zycznej w Krakowie i Joanna Wieczorek, absolwentka AM w Warszawie.

Tylko z zewnątrz, ludziom, którzy nie są bezpośrednimi świadkami Festiwalu Pianistyki Polskiej, impreza wydaje się sztampowym powtarzającym się nużącym cyklem recitali i koncertów. Jej uczestnicy cieszą się na każde kolejne wydanie FPP, tym bardziej, że w dwóch następnych latach zapowiada się festiwal niezwykle atrakcyjnie. Jak zapowiedział kierownik artystyczny Andrzej Cwojdzinski w przyszłym roku znów słupska publiczność jako pierwsza będzie miała okazję przesłuchania polskiej ekipy na Konkurs Chopinowski, natomiast XX Festiwal Pianistyki Polskiej — ma być popisem gwiazd.

Festiwalowe to i owo

✦ Najwytrwalszym krytykiem FPP jest Józef Kański. Zdecydowanie wie dzie prym wśród kolegów po fachu, bowiem, jak dotąd nie opuścił ani jednej imprezy. „Wysunął się” nawet przed Jerzego Waldorffa.

✦ Lecz jak festiwal festiwalem, nikt nigdy nie zdoła odebrać Jerzemu Waldorffowi palmy pierwszeństwa w barku hotelu „Zamkowego”. Jeśli jest — mówi za wszystkich, gdy wyjedzie przed czasem — wszyscy mówią, że go nie ma. Nie bez racji więc zapewniam, że po jego śmierci na FPP zastąpi go duch z wielkim nosem.

✦ Całe szczęście, iż tegoroczne wieczory muzyczne FPP tak podobały się publiczności. Gromkie brawa tylko były w stanie wyrwać ze snu zasiadającego na widowni stałego bywalca sal koncertowych. I znów będą wysniewane recenzje.

✦ Po raz trzeci gościem FPP była skośnooka autentyczna Japonka. Pani Rinko Kobayashi jest pianistką chętnie zapraszana przez polskie i obce filharmonie. W Polsce mieszka od 1977 roku, daty ślubu z muzykologiem Albertem Grudzińskim — na prawach stałego pobytu, ponieważ władze japońskie nie zezwalają płci pięknej na przyjęcie obywatelstwa innego kraju. Wcale nie czuje się u nas zagubiona. Od roku uprawia jogę, którą „zaraziła się” nie na Dalekim Wschodzie, gra w tenisa, jeździ na nartach i tyżwach. Ostatnio zdobyła prawo jazdy, by samodzielnie prowadzić przywiezionego „datsuna”. Męża japonizuje od żółdka, przyrządzając mu na różne — tylko w kraju kwitnącej wiśni znane i możliwe, sposoby — ryż. Pan Albert, który nie znośił tej potrawy, obecnie uważa ją za najlepszą na świecie.

✦ Siła FPP jest nieograniczona! Żeby spotkać się z muzyką i festiwalowymi gośćmi, przewodniczący komitetu organizacyjnego pierwszych festiwali, dr Jan Stępień, zrezygnował z zabiegów sanatoryjnych w kołobrzeskim uzdrowisku.

✦ Kto wie czy gdyby nie festiwal pianistyki, słupszczanie mogliby naocznie przekonać się jak Monika Rosca z blondwłosej zastraszonej w pustyni i w puszczy Nel, przeobraziła się w dojrzałą kobietę, sukającą oparcia, bynajmniej nie w Stasiu.

✦ Nie dojechała w tym, ale zapowiedziała się na następny rok, Danuta Dubois, przedstawicielka Departamentu Muzyki i Tańca w Ministerstwie Kultury Republiki Francuskiej w Paryżu, która interesuje się tutejszą formą promowania laureatów „Estrady Młodych”. Wniosek: przyznawanie na FPP w Słupsku, w miejsce nagród pieniężnych lub rzeczowych — koncertów, nagrań należy do rzadkości.

✦ Po pobycie na jednym z recitali dyrektora generalnego w Ministerstwie Kultury i Sztuki Andrzeja Rajewskiego, słysząc doznali nie tylko zaszczytu, również nadziei na otrzymanie nowego fortepianu.

✦ Suknię Aldony Dvarionajte podczas występu zdobyła misterna koronka, co nie uszło uwadze pań. Nie robimy sobie apetytu, jak podają dobrze poinformowane źródła, cacko jest rodowe. Natomiast nic nie mogę powiedzieć o także pięknych, koronkach Reginy Smendziarki.

✦ Po raz pierwszy festiwal miał stoisko z nagraniami „Wifonu”. Osobiście otwierał je dyrektor firmy.

✦ Na tegoroczny FPP były zwrócone aż dwie kamery telewizyjne. Red. Bogdan Zoltak z Koszalina kręcił „żywy” koncert. Reżyser szczecińskiej TV, Stanisław Modelski, zaaranżował dla małego ekranu dyskusję z udziałem wykonawców, krytyków i organizatorów FPP.

✦ Ogromnie goście festiwalowi znów rozsmakowali się w jedzeniu serwowanym „Pod Kluką”. Każda dobra sztuka zasługuje na uznanie.

✦ Takiego szczęścia, jakie spotkało prof. Włodzimierza Obidowicza, nie doświadczył żaden inny uczestnik tegorocznego festiwalu. Nie dość, że został gwiazdą XVIII FPP, to jeszcze trafił w sklepie przy ul. Starzyńskiego na czajnik ze szkła żaroodpornego.

✦ W koncercie inauguracyjnym uczestniczył największy humanista wśród sportowców — Włodzimierz Puzio. Najpierw sprinter i plotkarz, potem trener lekkoatletyki (w dziesiątce trenerów 40-lecia) jest absolwentem Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie i nadal uprawia malarstwo i rysunek. Studiował również fortepian u sław — Jarosława Drzewieckiego i Stanisława Szpinalskiego. Sam uczy gry, akompaniował szkolącym się u Ady Sari wokalistkom, tańczył w balecie.

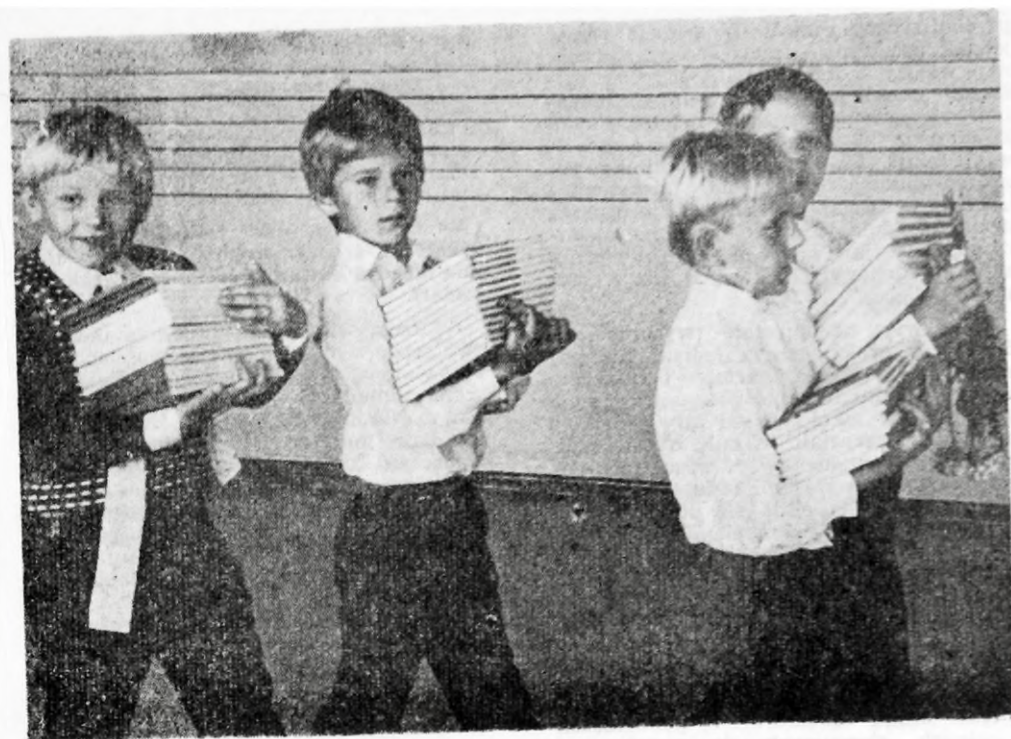
✦ Za to znakomity pedagog, wychowawca m. in. Krystiana Zimermana, także koncertujący z powodzeniem pianista — prof. Andrzej Jasiński, dał się poznać jako miłośnik morskich kąpiel. Bez względu na pogodę pokonywał z łatwością fałc Bałtyku. Ujawniamy rąbka tajemnicy: profesor był niegdyś ratownikiem.

✦ Pomysł zorganizowania jednocześnie Festiwalu Pianistyki Polskiej i Dni „Sportu” nie był taki głupi. Któregoś wieczoru doszło do zjednoczenia sztuki ze sportem pod Napoleonem, kiedy to dziennikarze katowickiego „Sportu” zaprosili do siebie napotkanych w hotelowym bistro muzyków. Po krótkim czasie dowodzenie objął znany w środowisku docent i pianista, uprzednio obalając Napoleona — tyle, że w płynie.

✦ Ucieszył się niezmiernie profesor Akademii Muzycznej Jerzy Sulikowski, gdy honorarium za wygłoszoną prelekcję sięgało mniej więcej poziomu stawek, jakie przysługują zapowiadaczom programów rozrywkowych. Wreszcie ktoś w Ministerstwie Kultury i Sztuki docenił Bacha.

✦ Grozo znawców koncertów festiwalowych ze słyszenia od innych radzi, by koniecznie zmienić formułę FPP. Gdyby miało bardziej czułe ucho, poradziłabym mu miast plotek posłuchać muzyki Chopina w wykonaniu na przykład Reginy Smendziarki.

(mim)



Szukamy nie obrońców lecz partnerów...

powiedział podczas rozmowy o sytuacji, funkcji i miejscu współczesnej szkoły Kurator Oświaty i Wychowania Kazimierz Ślusarski

— Panie kuratorze, czy szkole potrzebni są obrońcy?

— W moim mniemaniu nie. Szkołę, podobnie jak inne dziedziny naszego życia, dotknął kryzys, który objawia się brakiem nauczycieli, izb lekcyjnych, pełnego wyposażenia, ale mimo to swą dydaktyczną i wychowawczą rolę wypełnia ona dobrze. Bardziej natomiast potrzebni są rozumiejący ją i jej potrzeby partnerzy — rodzice, zakłady pracy, organizacje młodzieżowe i społeczne, placówki kulturalne i sportowe. Nie można przecież zapominać, że dzisiejsza szkoła przejęła wiele funkcji domu rodzinnego. Szkoła opiekuje się dzieckiem, kiedy rodzice są w pracy, ży-

wi, daje podręczniki, dowozi, a ma przy tym szereg problemów natury materialnej, np. z utrzymaniem w stanie sprawności bazy dydaktycznej itp.

— Mam więc rozumieć, że atak na szkołę za jej bezradność wobec życia, złych nauczycieli, niehigieniczne planowanie zajęć, bierną i apatyczną młodzież jest wynikiem nierozumienia lub uproszczenia złożonych, modelujących ją przyczyn?

— Tak, choć jest to zrozumiałe i ludzkie, że łatwiej krytykuje się innych niż siebie.

Prawdą jest, że w założeniach programowych nasza szkoła nie była nigdy pragmatyczna, choć zakładała szeroko pojętą

psychofizyczny rozwój. W gruncie rzeczy jednak programy przeciążone są nadmiarem wiedzy teoretycznej. A przecież dzisiejszy uczeń przychodzi z innym bagażem wiedzy i doświadczeń, niż ten sprzed lat, czego programy najczęściej nie uwzględniają. Ich korekta pozwoliłaby, jak sądzę, uniknąć powielenia informacji i uzyskać w zamian czas na uczenie poprzez działanie. Mam jednak nadzieję, że niedomagania te likwidować będą różne formy zajęć pozalekcyjnych, których jest z roku na rok więcej.

Winę więc za pozostałe wysunięte tu błędy czy braki trzeba jednak bardziej rozłożyć. Hierarchia wartości i wyborów stylu życia młodych nie powstaje przecież wyłącznie w szkole. Przed laty rodzice i uczniowie rozpętali batalię o zniesienie szkolnych mundurków. Uzasadniono to wówczas nawet racjami natury psychologicznej. Szkoła broniła się przed tym, a dziś słyszymy, że jest salonem mody i dopuszcza do wyraźnego eksponowania różnic w sytuacji materialnej rodziców, bo jedną uczennicę stać na kozuch i sweter z butiku, drugą zaś tylko na odzież skromną, nabytą w handlu detalicznym.

Również praca na dwie zmiany nie jest wynikiem naszej nieporadności, lecz rezultatem braku obiektów i pomieszczeń szkolnych stosownych do zwiększonej liczby uczniów. Wszak mamy już w szkołach wyż demograficzny, którego wcześniej jakoś nie przewidziano.

Nauczycieli zaś szkoła ma różnych. W tym bardzo wielu zdecydowanie dobrych. Fakt, że nie można tak powiedzieć o wszystkich spowodowany jest wcześniejszą polityką kadrową, między innymi — niskim uposażeniem, spadkiem autorytetu, rangi społecznej i selekcji negatywnej do niego.

— Czy to prawda, że była ona lepsza wówczas, gdy pracowali w niej prawie wyłącznie absolwenci liceów pedagogicznych?

— Szkoła miała wówczas więcej nauczycieli z tzw. prawdziwego zdarzenia, nauczycieli z powołania. Działo się tak dlatego, że do liceów pedagogicznych szła przede wszystkim młodzież pochodzenia chłopskiego i robotniczego, dla której zdobycie tego zawodu było ważnym społecznym awansem i która chciała uczyć. Ówczesny system kształcenia nauczycieli wzmocniony był też dużymi świadczeniami socjalnymi. Stypendia niemal dla wszystkich i większa niż w innych szkołach dostępność internatów stanowiły sporą motywację dla dzieci chłopskich i robotniczych. A jest przy tym wiadome z doświadczenia, że środowiska te „dają” często ludzi pracowitych, obowiązkowych, bez

oporu podejmujących się pracy na wsi i pracy społecznej na rzecz środowiska. Dzisiaj jednak nauczyciel po liceum pedagogicznym nie mógłby się w pełni w szkole sprawdzić. Liceum to zaledwie pierwsza faza nauczycielskiej edukacji. Dzisiejszej szkole potrzebny jest nauczyciel bardziej wykształcony.

— Jaka jest dziś faktyczna funkcja szkoły w środowisku? W wiejskim była ona niegdyś kulturotwórcza — czy tak jest nadal?

— Rzeczywiście szkoła pełniła dawniej, zwłaszcza w małych miejscowościach rolę i oświatową, i kulturotwórczą. Była teatrem, biblioteką, świetlicą, miejscem zabawy. Niestety, niefortunna decyzja o likwidacji mniejszych oddziałów na rzecz zbiorczych szkół gminnych wymazała z mapy wsi i szkołę, i ośrodek kultury zarazem. Chcemy jednak przywrócić szkole jej dawną funkcję. Trzeba nawiązać kontakt z resortem kultury, no i zaufać bardziej wiejskim pedagogom. Działając na rzecz środowiska będą przecież tworzyć także możliwość rozrywki i rekreacji dla siebie i swoich dzieci.

— A w mieście? Tutaj przecież tych ofert jest znacznie więcej...

— Jest i zawsze było więcej. Szkoła miejska była zazwyczaj ośrodkiem kultury — i to nie jedynym — wyłącznie dla swoich uczniów, choć dawniej w stopniu znacznie silniejszym niż dziś. Wszystko — i zajęcia pozalekcyjne i działalność grup artystycznych i zabawy szkolne i nawet dbałość o ten mało lubiany uniform — mundurek była przejawem kulturowej działalności szkoły. Dziś dzień nauki w szkole się wydłuża, na tańce chodzi młodzież do dyskoteki, a i działalność kół zainteresowań spada i trzeba czasu, żeby się rozkręciło to, co nazwać można symptomami renesansu kół przedmiotowych lub interdyscyplinarnych.

— Co najbardziej przeszkadza dziś szkole?

— Sporo rzeczy: oddalenie się od niej środowiska, zmiany systemu wychowania i kształcenia, posługiwanie się historycznymi już autorytetami, powszechny kryzys świadomości i wartości...

— A przesylenie sloganami?

— Szkoła bardziej przesycona jest sloganowym realizowaniem treści niż sloganową treścią. To, jak odbierze się stwierdzenie, że szkoła pragnie rozwinąć w uczniu umiejętność dokonywania prawidłowego wyboru w różnych sytuacjach życiowych, zależy wyłącznie od tego, w jaki sposób będzie to realizowane. Słynne renesansowe hasło o harmonijnym rozwoju

człowieka brzmi teraz jak slogan, a wtedy stanowiło treść niejednokrotnie bardzo pięknego życia. Właśnie naszym dążeniem na dziś i jutro jest stworzenie „szkoły-osobowości”.

— Czy to byłby rodzaj przepisu na dobrą szkołę?

— Częściowo tak. Chodzi o to, by i nauczyciele i uczniowie „tworzyli wspólnie miejsce”, które posiada pewną określoną tradycję, w którym ucznia fascynuje osobowość nauczyciela, do którego chętnie

wraca się po latach i odwołuje do nabytych w nim poglądów i przekonań.

— Jak długo jeszcze będzie to idealny i nieosiągalny model?

— Nie mogę dać odpowiedzi, bo sam jej nie znam. A może inaczej? Może należy pytać o to nie mnie, ale wszystkich, całe społeczeństwo?

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała
ANNA RACZYŃSKA

Punkty za cierpliwość

ZBIGNIEW JANISZEWSKI

Jak bumerang wraca na sale obrad temat różnego rodzaju preferencji. Co do niektórych nie mamy zastrzeżeń i stanowia niejako element naszej obyczajowości. Wiemy, że kobieta w ciąży ma bezwzględne prawo kupić bez kolejki wołwinę, że inwalida wojenny to człowiek, który stracił zdrowie, gdyż niegdyś dał przykład patriotyzmu i należał mu się oprócz szacunku społecznego pewne udogodnienia, chociaż, moim zdaniem, są one niewielkie. Jednak preferencje oprócz funkcji wyrównującej dostęp obywateli do dóbr materialnych czy duchowych świadczą o sytuacji, jaka istnieje w pewnych dziedzinach życia społecznego w kraju lub jego regionu. Tezy tej nawet nie trzeba udowadniać. Gdy w Bieszczadach brakowało lekarzy — zwłaszcza w małych miasteczkach — państwo oferowało medykom bezzwrotną pożyczkę w wysokości 100 tysięcy złotych (rok 1978 — wówczas był to ładny grosz...), byle tylko chcieli zająć ładne, wcześniej przygotowane mieszkanie, zwykle usytuowane w nowiutkich ośrodkach zdrowia i podjąć praktykę. Ten rodzaj zachęty nie budził żadnych protestów, ale też stanowił o małej atrakcyjności pracy w Bieszczadach, gdzie życie kulturalne i związana z nim tak zwana duchowa infrastruktura były w grubych powijkach.

Gdy w Legnicy tworzono teatr dramatyczny, to wybudowano wcześniej dom mieszkalny, wyposażony w meble i dywa-

ny znajdujące się w nim mieszkania (w telefony też) i powiedziano wprost — dajemy to aktorom, którzy chcą pracować w naszym teatrze i mieszkać w naszym mieście.

Najcieżej pracującą grupą zawodową są górniczy, w tej grupie jest też najwięcej wypadków powodujących kalectwo, bo przecież w kopalni trwa nieustanna walka z żywiołem (mam tu na myśli ogromne ciśnienie dające do skruszenia rodzimych chodników i ludzi). Nie zazdroścę więc górnikom ich kartek na 7 ilorazmów miesa. Te preferencje mogą podważyć tylko ludzie nieświadomi górniczego trudu. (Od 1969 roku do 1974 pracowałem w kopalni, więc chętnie opowiem.)

Po tym wstępie chce chwycić za roli temat wsi, jako pewnego obszaru kulturowego, traktowanego (mimo niewielkich zmian na lepsze — wywodzących się jednak z nieuchronnego postępu cywilizacji) po macoszemu, co można udowodnić przez proste porównania lub też prezentując fragmenty dyskusji nad 28 pytaniami sformułowanymi po XVI Plenum KC PZPR... Otóż jedno z nich dotyczy preferencji przy rekrutacji na uczelnie dla młodzieży wiejskiej i tej z małych miasteczek. Preferencji w postaci dodatkowych punktów, mających niejako odzwierciedlać miarę odległości kulturowej, jaką młodzież wiejska prowincji od dużych miast. Dlaczego ten temat jest aktualny przez całe czterdzie-

stolecie PRL? Czy tak szybko rozwinęła się oświata i jej baza w miastach, czy takie głębokie zacofanie paraliżowało wieś? Otóż ani jedno, ani drugie. Widziałem szkoły wiejskie lepiej wyposażone, niż najlepsze słupeckie, program nauczania obowiązuje ciągle ten sam na terenie całego kraju, również podobne są formalne wymagania względem kadry. Gdzie jest więc przysłowiowy pies pogrzebany?

Nim zostałem górnikiem i następnie dziennikarzem, skończyłem studium nauczycielskie i wybrałem sobie na początek kariery zawodowej wieś. Brzeźnicę pod Żaganiem. Miejscowość 6 kilometrów długa, trzy przystanki, urząd gminy, felczer, kościół... Mogłem zaczynać w mieście, które już było stolicą wielkiej miedzi, jednak zapragnąłem samodzielności. Inspektor szkolny w Żaganiu, pan Jarlaczek, oglądając mój dyplom, powiedział: — No tak, jeśli będzie się pan dobrze spisywał na wsi, to przeniesiemy pana do miasta, do jakiejś porządnej szkoły!

To zdanie zapamiętałem chyba na całe życie, gdyż było ono wykładnią poglądów pana inspektora na temat wiejskiej oświaty i jej funkcji... W Brzeźnicy przez okragły rok mieszkałem na strysku i miałem go opuścić dopiero po interwencji inspektorów NIK. Wolałem jednak wrócić do miasta, gdzie czekało wygodne mieszkanko, kino, teatr, domy towarowe, przyjaciele...

Po wielu latach znalazłem się w Słupsku, w tygodniku „Zbiżenia”, gdzie zlecono mi (jako jeden z pierwszych) temat — warunki nauki i nauczania w miejscowości Sycewice, wówczas siedzibie superkombinatu rolniczego, w którym już z założenia krowom miało być lepiej, niż dzieciom... w szkole. Były pieniądze na kombinat, na osiedle mieszkaniowe, zaś szkoła gnieździła się w trzech ruderach i wynajmowała jeszcze u jednego z gospodarzy zagrzebiony pokój. Tak — dzisiaj sobie myślę — tym dzieciom z Sycewic potrzebne są dodatkowe punkty przy wstępie na uczelnię. Jednak czy wszyscy nie uświadamiamy sobie, że takie punkty dzielą jakby instytucjonalnie ludność na lepszą i gorszą, na lepiej wyuczoną w szkołach i gorzej wykształconą? Czy i dzisiaj nauczyciel wiejski nie znajduje się w gorszym położeniu, niż ten w Słupsku? Czy miara wymagań władz oświatowych jest jednakowa? Jak spowodować, by na wieś trafił wreszcie nauczyciel najlepszy, taki który mimo gorszych warunków, będzie chciał lepiej uczyć, gdyż na wsi trzeba lepiej uczyć, by wreszcie można było mówić o wyrównaniu oświatowych poziomów...

To nauczyciela wiejskiego trzeba hołubić i ochraniać. Dać mu dobre mieszkanie, lepszy zarobek i to o tyle, by o pracę w wiejskiej szkole trzeba było się ubiegać, przechodzić przez specjalne kwalifikacyjne sito. Ktoś powie — utopia, skąd środki, nie ma warunków, nie ma mocy przerobowych. Odpowiem wprost — zawsze traciło się COŚ, by zyskać WARTOŚĆ. A póki nauczycielem wiejskim będzie się z konieczności a nie z życiowego wyboru, póty będziemy się zastanawiać, czy dzieciom ze wsi należy przyznać dodatkowe preferencje przy wstępie do szkół...

Leży przede mną dokument o tytule „Informacja o stanie przygotowania szkół i placówek oświatowo-wychowawczych do pracy w roku szkolnym 1984/85”. Wynika z niego, że oddane do użytku będą trzy placówki szkolne, w tym I etap szkoły na osiedlu Budowniczych Polski Ludowej w Słupsku i reaktywowane będą dwa punkty filialne w Grąsinie i Nieckowie. Informacja lakoniczna mówiąca o pewnym postępie. Zorientowani jednak wiedzą, że inwestycje oświatowe są opóźnione, gdyż potencjał budowlany kierowano wcześniej na „mieszkańcówkę”, sklepy, osiedle domków jednorodzinnych... Szkoła zawsze schodziła na plan dalszy... Czy dzieciom z BPL za pięciokilometrowe dojazdy do szkoły w centrum Słupska, należeć się będą również preferencje?

Niniejszy tekst piszę z premedytacją w roku niemal poprzedzającym przejście na emeryturę kilku setek nauczycieli. Oczywiście, tyleż oświata straci mieszkań... Pozyskiwanie nowej kadry musi więc być paralelne z budową lub przystosowaniem lokali mieszkalnych. Problem jest ogromny, zwłaszcza iż w chwili obecnej już na wsi 500 nauczycieli nie ma gdzie mieszkać, a tak zwany głód mieszkaniowy wynosi w Głównych 37 lokali, w Potęgowie 31, w Lipnicy 25, w Dębnicy Kaszubskiej 27... To wszystko już po „remanencie”, w wyniku którego uzyskano w 1983 roku 108 mieszkań dla wiejskich nauczycieli. W roku bieżącym pedagogzy gminni otrzymają ich aż... 12! Jeżeli dodać do tego, iż szkoły wiejskie funkcjonują przeważnie w zdekapitalizowanej bazie (w Słupsku w ogóle na 154 obiekty złożone do remontu, w portfelach zamówień różnych firm znalazło się 56 placówek), to będziemy mieli obraz rangi szkolnictwa wiejskiego zajmującego wśród wielu innych problemów, z jakimi boryka się władza gminna, miejsce bardzo pośrednie...

Oczywiście, punkty wyrównawcze lub jeśli ktoś woli, preferencyjne, stanowią

szansę jedynie dla nielicznych jednostek, wybitnie uzdolnionych dzieci ze wsi. Pozostali, mimo ułatwionego startu na uczelni, załamują się dość szybko i wracają do rodzinnego domu, by potem na kursie ZDZ zdobyć jakieś kwalifikacje, lub też zajmą miejsce w szeregu miernych fachowców z wyższym wykształceniem.

Tak więc postuluję całkowitą renowację szkolnictwa, głównie wiejskiego, gdyż nieprawdą jest, że niewykształcone dzieci rolników będą rolnikami... Tu funkcjonują inne prawa i wiąże się, od czasu nastania ery telewizji, z warunkami życia w bardzo szerokim rozumieniu tego pojęcia. Należy więc na wsi przywrócić rangę pew-

nych służb społecznych — nauczyciela, lekarza, agronoma, bibliotekarza...

Oczywiście, renowację szkolnictwa wiejskiego proponuję zacząć od uświadomienia sobie, jak będzie funkcjonowało nasze społeczeństwo za pięćdziesiąt lat, czy będziemy w stanie dorównać rozwijającemu się w astronomicznym tempie światu, posługując się nadal — zamiast elektroniczną techniką obliczeniową i robotami, i automatycznymi procesami produkcyjnymi — punktami preferencyjnymi na studia... Przebudowę mentalności trzeba zacząć już, bo jutro będzie zbyt późno.

HISTORIA KINA (2)

Western i burleska

JAN SROKA

Western i burleska należą do najwcześniejszych powstałych i skryształizowanych gatunków filmowych. Ich ojczyzną były Stany Zjednoczone. Od początku przeznaczone były dla publiczności niewybrednej, szukającej w kinie przygody, emocji, widoku dzielnych ludzi. Zresztą bardzo często twórcy tych gatunków należeli do niższych warstw i kultura tych warstw była im bliska. Oba gatunki należą do kina popularnego, bliskie si kulturowi ludowej i commedii dell'arte. W początkowym okresie najczęściej nie zdradzały ambicji artystycznych, służąc przede wszystkim rozrywce.

Pierwsze westerny były okrucami współczesności. Żyli jeszcze ludzie pamiętający wojnę secesyjną, gorączkę złota, pionierskie wyprawy na Zachód. Powstawała bogata literatura opowiadająca o kształtowaniu się Ameryki i podbojach dzikiego Zachodu. Obok dzieł wybitnych, jak choćby książek J. F. Coopera, powstaje literatura popularna opowiadająca o wielu nieprawdopodobnych historiach. Na Zachód wyjeżdżają coraz częściej dziennikarze tworząc legendę. Film przyjął

legendę z literatury popularnej i z prasy. Autentyczni bohaterowie, o których często opowiadał, zagubili się w mitach.

Za twórcę westernu uznaje się Edwina Portera, który w 1903 roku zrealizował „Napad na ekspres”, ale już wcześniej anonimowi operatorzy nakręcili kilka filmów, które można uznać za westerny. W 1898 roku powstaje „Cripple Grech”, w 1901 „Cowboy i dama”, w rok później „Białe dziecko wśród Indian”. Film Portera oparty jest na konstrukcji montażowej, akcja rozgrywa się jednocześnie w kilku miejscach, m.in. w plenerze, co było wtedy nowością. Temat filmu był niezwykle aktualny. W początkach wieku w Stanach Zjednoczonych notowano wiele napadów na pociągi.

W 1908 roku powstaje „Cowboy i nauczycielka”, pierwszy western, w którym pojawia się wątek romansowy. Najczęściej jednak filmy kowbojskie ukazywały walkę z Indianami i sławiły podbój Ameryki przez białych.

Pierwotną formę westernu wprowadził na ekrany G. Anderson, aktor i reżyser,

który stworzył postać legendarnego cowbaya Brocho Billa. W latach 1907—1914 co tydzień bohater Andersona pojawiał się na ekranie w nowym filmie. Kształtował i rozwijał gatunek w latach 1911—1915 Thomas Ince. W jego filmach występował świetny aktor i jeździec William Hart. Inną słynną postacią był Tom Mix grający w filmach F. Boggsa i F. Grandsona. Przed 1914 rokiem każda niemal wytwórnia w Ameryce miała swego filmowego cowbaya, w każdym filmie występowały te same postacie. Obok dobrego i dzielnego bohatera występował przestępca, także dzielna dziewczyna i szeryf. Były to opowieści o krzywdzie naprawionej. Dobro, jak w ludowym moralitecie, triumfowało.

Mimo zmian, jakim w historycznym rozwoju podlegał western, „wzbogaceniu” o elementy historyczne, społeczne, psychologiczne, w swych głównych wyznacznikach gatunkowych pozostał nie zmieniony. Występuje w nim kilka stałych tematów jak np.: walki osadników z Indianami, historia szeryfów, opowieści o cowboyach wyjętych spod prawa. Czasem i miejscem akcji jest okres kolonizacji i podboju Dzikiego Zachodu. Istotną cechą tych filmów jest plenerowy charakter, zbiorowe strzelaniny, pościgi konne. Silnie zarysowany jest konflikt „dobra” ze „złem”. Postać głównego bohatera jest zmitologizowana, obdarzona szlachetnymi cechami.

Westerny odbieramy inaczej niż Amerykanie, nie znamy dobrze historii tego kraju i kulturowych uwarunkowań. Dla mieszkańców Ameryki jest to film historyczny i aktualny zarazem. Western pozwala Amerykanom odnaleźć na ekranie wszystko to, czego im w rzeczywistości brakowało — stabilizacji wartości, kodeksu sprawiedliwości. Prowadził do konfrontacji i porównań, czym była i czym jest Ameryka.

Burleska amerykańska przeznaczona była, podobnie jak western, dla niższych warstw, dla licznych emigrantów przybywających do Stanów Zjednoczonych w nadziei lepszego jutra. Adresat wpływał na treść, formę i filozofię gatunku. Ojcem burleski był Mack Sennett. Jego wczesne filmy opowiadały nieskomplikowane historie o pokrzywdzonych ludziach, którzy walczyli o byt. Bywali agresywni, choć sami brali potężne cięgi. Komedie Sennetta miały jeden podstawowy cel — śmieszyć i osiągnąć powodzenie u widzów, co było ważnym warunkiem sukcesu finansowego. Komizm sytuacyjny, liczne gagi, oparty był na motywach bójek i pogoni oraz nonsensownie działających bohaterów. Jean Mitry tak pisze o jego filmach: „...marzenia i rzeczywistość łączyły się ze sobą, a spektakl stawał się czystą fe-

erią (...) Między poszczególnymi scenami nie było żadnego związku, żadnej logicznej ciągłości. Niewyczerpalnym źródłem poetyckiego żartu był absurd”.

Rozwijali gatunek Harold Lloyd, Buster Keaton i Charles Chaplin. Dwaj pierwsi uprawiali do końca burleskę klasyczną. Keaton rozwinął zainicjowany przez Sennetta „pierwotny żywioł ludzki”. Wypracował własny typ komizmu: gagi oparte na nonsensownych działaniach, nieruchomą „Kamienną twarz”. Jego najciekawsze realizacje to: „Rozkosze gościnności”, „Sherlock Junior” oraz „General” — komedia rozgrywająca się na tle wojny secesyjnej.

Burleska amerykańska była gatunkiem, który programowo nie zdradzał ambicji artystycznych. Służyła przede wszystkim rozrywce. Humor tych filmów był najczęściej niewybredny. Właściwie do końca pozostała gatunkiem ludycznym, choć niekiedy mimo woli błysnie w niej jakaś myśl czy idea moralna. Charakterystyczna jest ewolucja twórczości Chaplina.

W pierwszych filmach zrealizowanych w wytwórni „Keystone” Macka Sennetta tworzy postać agresywną i amoralną. Te cechy są jego bronią w walce o życie. Dla wytwórni „Essanay” kręci w 1915 roku kilka filmów, w których zaczyna wzbogacać postać trafnie dobranymi rekwizytami (wąsik, melonik, laseczka) — m.in. filmy: „Charlie bokserem”, „Charlie włóczęgą”. Stopniowo jego humor oparty na mechanicznych gagach poczyną nabierać sensu humanistycznego, postać zyskuje rysy tragicomiczne. Tworzy własny styl komedii satyrycznej, z elementami melodramatu, gdzie ważną rolę odgrywają elementy niekomiczne: liryzm i tragizm. Największe filmy z tego okresu to: „Charlie włóczęga” (1916) „Emigrant” (1917), „Charlie żołnierzem” (1918) i niewątpliwie arcydzieło „Brzdąc” (1921) zrealizowany we własnej wytwórni „United Artists” założonej w 1919 roku wraz z D. W. Griffithem, Mary Pickford i Douglasem Fairbanksem. W okresie kina niemego szczyty sztuki osiąga w „Gorące złoto” (1925) i „Cyrku” (1923) — komediach pełnych poezji, w których komizm stapia się z liryzmem i tragizmem.

Ostatnimi burleskami, związanymi z wzorcem klasycznym były filmy braci Marx, ale należą one już do kina dźwiękowego. Bohaterowie dawnej burleski byli samotni, czwórka braci Marx występują zawsze razem. Najczęściej są weseli i zawsze wprowadzają straszliwe zamieszanie i anarchię.

Dalszy rozwój burleski szedł w kierunku zapoczątkowanym przez Chaplina. Starła się być obok zabawy, także sztuką, jak np. w filmach Jacques’a Tati czy Pierre’a Etaix.



Spotkanie w foyer kina „Milenium” po pierwszym dniu festiwalu. Na pytania widzów odpowiadają przedstawiciele kinematografii radzieckiej i czechosłowackiej.

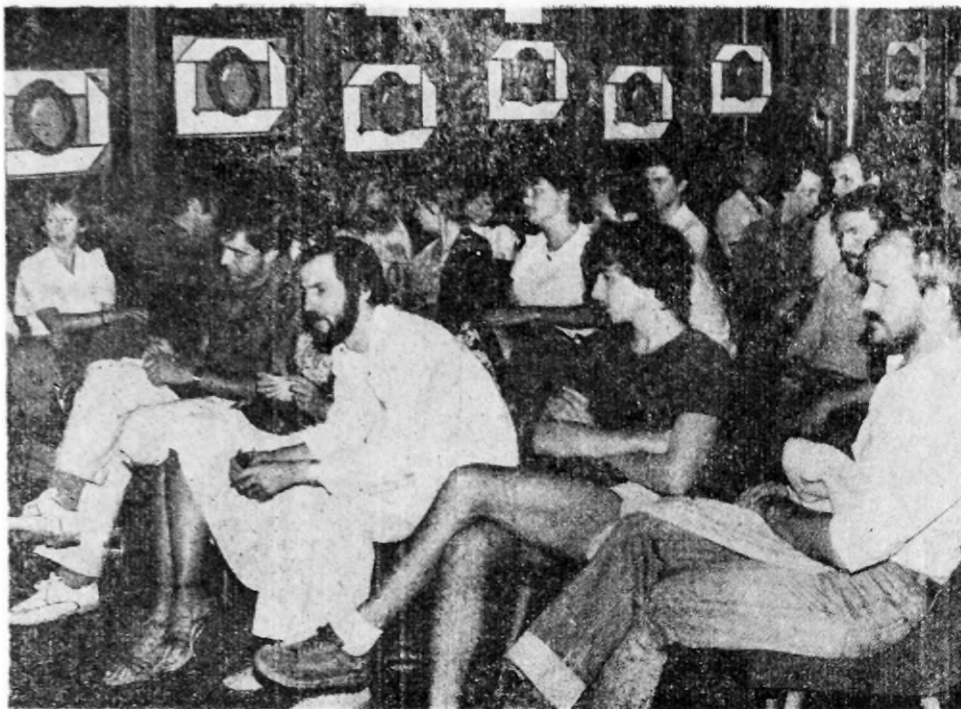
„Młodzi i film”

Hasło to od dwunastu lat dobrze znane koszalińskim kinomanom w tym roku pojawiło się również na planszach w Słupsku. Po raz pierwszy w historii Koszalińskich Spotkań Filmowych „Młodzi i film” część projekcji została powtórzona na ekranie kina „Milenium”. Publiczności słupskiej wyświetlano wszystkie filmy Konkursu Głównego, zgłoszone przez kinematografie Polski oraz krajów demokracji ludowej. Tu też publiczność, niezależnie od koszalińskiego werdyktu, wybierała własnych faworytów. Przyznała ona nagrodę polskiemu filmowi „Na straży swej stać

będę”, zaś twórcę — Kazimierza Kutza uznała największą indywidualnością reżyzerską spotkań.

Słupska mutacja festiwalu „Młodzi i film” zakończyła się pokazem filmów, które zyskały laury w Koszalinie. Na deser widzowie zobaczyli nowy zakup z USA, sensacyjno-policyjny film „Błękitny grom”. Podczas pięciodniowego przeglądu, odbyły się również dyskusje „Szczerość za szczerość” z reżyserami i aktorami prezentowanych obrazów. Nad sprawnym przebiegiem całości czuwał niezwykle zgrany i sympatyczny sztab ludzi z kina „Milenium”, Wojewódzkiego Domu Kultury i ZSMP, na czele z komisarzem imprezy, Janem Sroka, dyrektorem SDK w Sławnie i DKF jednocześnie. Jak na pierwszą tego typu imprezę filmową, bardzo dobrze dopisała publiczność. Organizatorzy postanowili kontynuować imprezę w następnych latach, z tym, że zamierzają wzbogacić ją o większą liczbę pokazów, albo też powołać w Słupsku do życia samodzielny festiwal czy retrospektywny przegląd filmowy.

(mim)



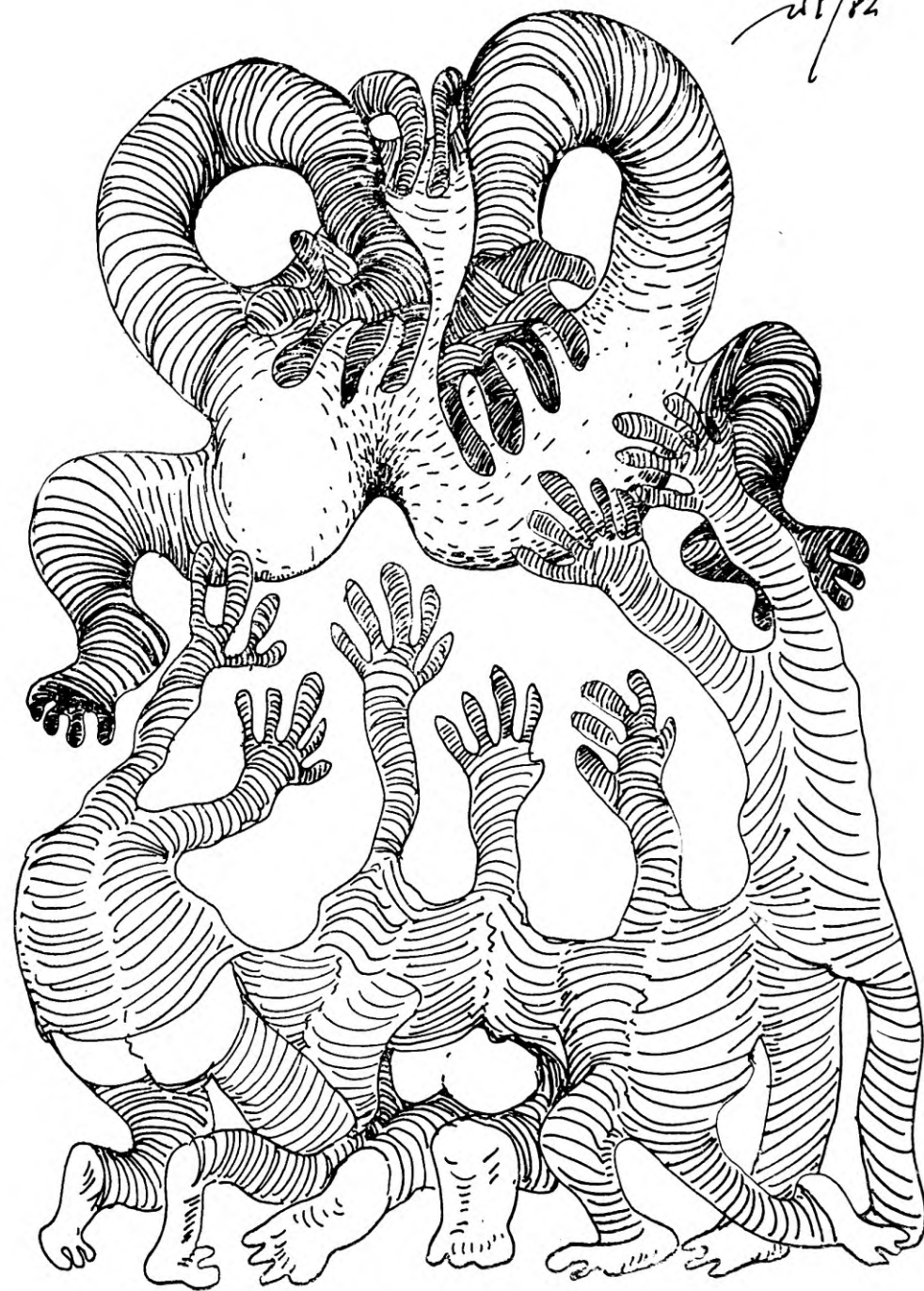
„Szczerość za szczerość” — wypróbowana forma rozmowy widzów z filmowcami sprawdziła się również w słupskiej edycji spotkań „Młodzi i film”.

M - JAK MORZE

W Uście rozpoczął się plener plastyków pod znamienną nazwą „M — jak morze”. Komisarzem artystycznym pleneru jest artysta plastyk Witold Lubiniecki. Zaś patronami organizacje i instytucje kultury województwa słupskiego. Jego uczestnikami są plastycy z różnych regionów kraju. Hasło i myśl artystyczna pleneru — trzeba przyznać — jest oryginalna. Morze, część natury, środowiska w którym żyjemy, na tym najlepszych ze światów — jest żywiołem o dwóch obliczach, a może i trzech. Groźne i przyjazne, zachwycające i szalone. Żywi i bogaci — ale również zabiera, mści się...

W przyszłym numerze pomieścimy obszernie sprawozdania z tego jedyne w kraju morskiego pleneru artystycznego.

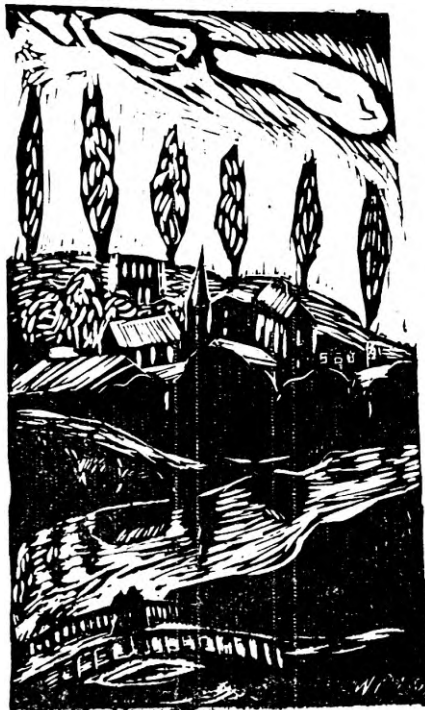
Być może uda się nam namówić na wypowiedzi jego uczestników, bo „M — jak morze” budzi rozmaite skojarzenia twórcze, artystyczne...



Wacław Pomorski — Kontrasty (rys. tuszem)

Niobe

W koło
tyle do powiedzenia
tyle słów na wagę
w dziesiątkę
Puszczone w obieg
mogą być trafione
bardziej
niż zwierz kiedy krwawi
Gorzej
kiedy się mówi
do słupa
Wtedy opadają ręce
Można skamienieć



Patrz z topelami

★ ★ ★



Anatoliuszowi Jureniowi

Jest we mnie rzeka zielona
do której jeszcze nie dotarłem
Stoję nad nią jak różdkasz z rozedrganą dłonią
pod stopą mchy grzęzną i rude paprocie
Kiedy pytam sosen
jak dotrzeć w głąb nie kalecząc niczego
cisza spływa rosą jak pająk srebrnym zagłem
wprost na igliwie śliskie od wilgoci

I nie wiem nic...
Trwam w zamyśleniu
A las dopełnia —
spina grzywę wokół
milczenia...

Penetracje

...jak długo szukać
jak długo czekać żeby wiedzieć
ile pomiędzy nami
ognia — — — jak przeczuć
ile powietrza
w nie powiedzianym słowie
lub słowie tylko napoczętym
jak chleb — — — skąd wiedzieć
ile dróg otwartych ile nieba
ile krąków zapadłych
kamieni
ile gestów ile dłoni w dłoni
ile w nas tkwi jeszcze ile pozostało
spojrzeń

ile abla
ile kaina...



Księżycowa noc

★ ★ ★

Co chowasz
w tych zaciśniętych dłoniach
które drągło życie — jakiego zwierza
jakiego ptaka ujrzę w twoich oczach
jakie słowo mi powiesz kiedy wrócisz
głodny i zawiedziony — jakim gestem
jakim spojrzeniem powitasz
w krzyżu dróg pożegnane
przyjaźnie — coś powiesz
na otarcie łez
jakim płótnem obwiążesz
czoło i pierś — czym się osłonisz
od przeciwności — jakie myśli s'cażesz
na pośmiewiśko — od czego się
odżegnasz — w co na powrót
uwierzysz

DYLEMATY KULTURY MASOWEJ

Być takim samym

Anegdota mówi, że amerykański minister uzbrojenia zwrócił się w 1943 roku do aktorki Veroniki Lake z oficjalną prośbą, by zmieniła swe uczesanie, ponieważ stało się ono przyczyną zwiększającego się stopnia niebezpieczeństwa pracy w przemyśle zbrojeniowym. Fryzura Veroniki — gęste, opadające na ramiona i przykrywające niemal pół twarzy włosy — znalazła po prostu rzeszę naśladowczyń. Wśród nich były także zatrudnione w owym przemyśle robotnice, a ich długie, przysłaniające prawe oko włosy wkręcały się w maszyny lub utrudniały precyzyjne wykonywanie elementów.

Inna historyjka dotyczy filmu Franka Capry „Ich noc”. Kiedy w jednej z jego scen okazało się, że odtwórca głównej roli nie używa tradycyjnego amerykańskiego podkoszulka, zaczęła go w tym naśladować większość Amerykanów, co automatycznie zmniejszyło handlowe obroty nim co najmniej o połowę. A cała rzecz zakończyła się w rezultacie ostrym konfliktem między producentami bielizny męskiej a wytwórnią Columbia Pictures.

W latach trzydziestych mówiono, że kawiarnie wielu stolic świata przepełnione są wyłącznie Gretami Garbo.

Pod koniec lat pięćdziesiątych na polskich ulicach pojawiły się setki Zbyszka Cybulskiego.

W latach sześćdziesiątych miliony dziewcząt i młodych kobiet naśladowało Brigitte Bardot i Marilyn Monroe. Zaś na przełomie lat 1967 i 1969 spotykano w

Londynie wielu nastolatków ucharakteryzowanych jak para gangsterów Bonnie i Clyde.

A jeszcze były baki a'la Valentino, obnażone ramiona i czarne rękawiczki Rity Hayworth, dzinsy i wiatrówka Jamesa Deana oraz wiele, wiele innych szczegółów przypominających wygląd lub zachowanie popularnych gwiazd światowego ekranu.

To zdumiewające od lat już zjawisko naśladowania zmieniało zresztą nie tylko szczegóły twarzy czy stroju, ale nawet typ sylwetki. Z niewiarygodną prędkością kobiety o wybuchających kształtach, taliach wciętých jak osy i misternych koafiurach, przemieniały się w chłopczyce o wąskich biodrach, drobnych pierśsiach i krótkich gładkich czuprynkach.

Naśladownictwo zmieniało też wnętrza naszych mieszkań, nasze upodobania literackie, poglądy i zachowania, czasami decydowało o wyborze studiów lub zawodu, wpływało na stosunek do innych ludzi.

Spójrzmy na obyczajową codzienność co i rusz regulowaną jest bowiem nową modą. Modą na secesję, segmenty, fotele na biegunach, Van Gogha, Prousta, portret przodka, pisanie poezji. A jeśli wskażemy źródła motywacji ludzkiego działania, nie podobna nie uznać poza sferą świadomie wybranych zasad światopoglądowych i moralnych także skłonności do nieświadomego i biernego ulegania naśladownictwu.

„Robię to nieświadomie. Instynktownie i nieodparcie chcę upodobnić się do osoby, z którą w danym momencie przebywam. (...) Zawsze jestem dobrze ubrany, lecz żebym włożył nie wiem co, mam niemiłe uczucie, że kogoś naśladowuję, bo nieodmiennie przypomina mi się ktoś ubrany bardzo podobnie — powiada bohater powieści Hellera „Coś się stało”, podejrzewając się o brak charakteru i zasad moralnych, a przede wszystkim własnej natury.

Istota i przyczyny ucieczki w naśladownictwo od dawna już są przedmiotem humanistycznej refleksji. Psychologia tłumaczy je lękiem przed samotnością i wyobcowaniem, socjologia zanikiem tradycyjnych społecznych autorytetów, zaś kulturologia upowszechnieniem ujednoliceniem wzorów zaspokajania różnych potrzeb. „Dostosowanie się do obowiązujących wzorów staje się sprawą jeszcze bardziej nagłą. Znaczący to, że człowiek może być siebie pewnym tylko wtedy, gdy żyje tak, jak tego inni od niego o-

czekują” — napisał w „Ucieczce od wolności” znany amerykański filozof, psycholog i socjolog Erich Fromm.

Postępowanie człowieka jest determinowane przez zbiór nawyków nabytych w procesie przystosowania się do otoczenia — dodaje inny uczyony.

„Człowiek wtopiony w tłum staje się jednym z wielu, częścią zbiorowości. Czuję się bezpiecznie wtedy, kiedy jest wśród takich jak on. Stara się więc upodobnić do większości, nie zwracać na siebie uwagi. Działa tu prawo mimikry i kamuflażu, barw ochronnych. Realizację ideału przeciętności zapewnić ma poczucie bezpieczeństwa. Uczestnik tłumy rozumie, że wszelkie nieoczekiwane, korzystne i niekorzystne sytuacje będzie dzielił z innymi. Myśl ta sprawia mu ulgę, tym większą, im bardziej jest niespokojny i lękliwy. Być jak inni — oto ideał zależniwego konformisty, członka „samotnego tłumy” — powiada prof. Alicja Kuczyńska.

W potocznym wyobrażeniu funkcjonuje przekonanie, że dążność do upodobnienia przejawia się w ścisłym respektowaniu istniejącego w danej społeczności katalogu wzorów. Zatem objawiają ją ludzie, którzy zawsze nakładają stosowne do czasu i miejsca okrycie, posługują się wymaganym zestawem gestów, zwrotów etc. Jak więc odczytać zachowania tych, którzy próbowali naśladować swym wyglądem Zbyszka Cybulskiego, zachowaniem Marilyn Monroe, a sposobem mówienia Marlenę Dietrich. W ogólnej masie było ich bardzo wielu. W gruncie rzeczy jednak odstawali często od swego środowiska i panującego w nim wyobrażenia wyglądu czy zachowania.

Ludzkie działania — powiada psychologia, charakteryzują niekiedy sprzeczne tendencje i skłonności np. bycia podobnym do innych, a równocześnie bycia innym niż wszyscy; bycia członkiem tłumy, a równocześnie jakby outsiderem. Zatem usilne starania żarliwych wyznawców mody, niezależnie od tego czy sięgają oni po wzory do filmu czy też żurnala, polegają na dostosowaniu się do określonych wymagań, kopiowaniu wyznaczonych przez wzór szczegółów i tendencji ogólnych, przy równoczesnym realizowaniu potrzeby wyjścia poza tłum, który z zasady wszelkie nowe w tym względzie propozycje przyjmuje wolno i z pewnym oporem. Naśladowanie wybranych idoli, uodrabnianie się do żurnala ego rodzaju, powielane przez większą liczbę ludzi tworzy z nich jakby nową ponadprzestrzenną grupę, w której zyskują poczucie wzajemnej akcep-

tacji, realizują poczucie bezpieczeństwa, a równocześnie innosci.

„Uleganie modzie — napisał kiedyś niemiecki uczyony Georg Simmel — jest formą naśladownictwa, które daje jednostce pewność, że nie pozostaje w swym izolowaniu samotna. Opiera się ona jak na mocnej opozycji na dotychczasowych sposobach wykonywania określonych czynności, co zwalnia ją od ciężarów odpowiedzialności za aktualne działania”. Moda pozwala więc nam udawać kogoś innego niż jesteśmy, demonstrując wartości, których nie posiadamy, ukrywając cechy, które pragniemy ukryć. Moda jest więc formą maski, która podobnie jak maska aktora w starożytnym teatrze greckim pozwala wyeksponować określoną, wyrażoną przez siebie rolę np. buntownika, konestatora, dziewczyny sportowej, dziewczyny sexy etc. Maską powiada Calais na myśli, wprowadzając otoczenie w oślep, wyzwalając od lęku i stanowiąc „narzędzie przeistaczania się”.

I nie zawsze jest ona protezą zastępującą wewnętrzną pustkę, a zwykło się tak przecież oceniać wyrazną, szczególnie u młodych ludzi skłonność do ulegania określonej modzie.

Upodabnianie się do określonego wzoru — jak powiada cytowana już wyżej Alicja Kuczyńska — może przecież oznaczać również identyfikację wewnętrzną, zaś szereg gestów, zachowań, fryzura czy ubranie znamiennować głębsze duchowe i moralne treści. Sprawa jest zresztą niejednoznaczna, złożona, ale jej wyjaśnienie przekracza cele niniejszej wypowiedzi, w której chodziło zaledwie o zwrócenie uwagi, i to w określonym aspekcie, na zjawisko, które istnieje w naszej społeczno-obyczajowej codzienności, a więc bezpośrednio dotyka każdego z nas.

Moda jest przecież potrzebna, tworzoną przez znających się na przedmiocie fachowców, formą działalności kulturowej. Zatem uleganie jej, sposobem włączenia się w ową działalność. Rzecz jednak w tym, aby owe naśladownictwo nie polegało na bezrefleksyjnym, szybkim powielaniu i kopiowaniu podsuwanych, odnoszących się do różnych dziedzin naszego życia wzorów. Może być ono bowiem wynikiem własnych poszukiwań i wyborów. Może oznaczać akceptację proponowanej oferty, nie zaś biernie poddawanie się jej. Inaczej sygnalizowane przez badaczy, widoczne w skłonności do upodabniania się do innych, osłabione poczucie własnej tożsamości może prowadzić do jej utraty, a z biegiem czasu oznaczać jej całkowity brak.

ANNA RACZYŃSKA

PLASTYKA

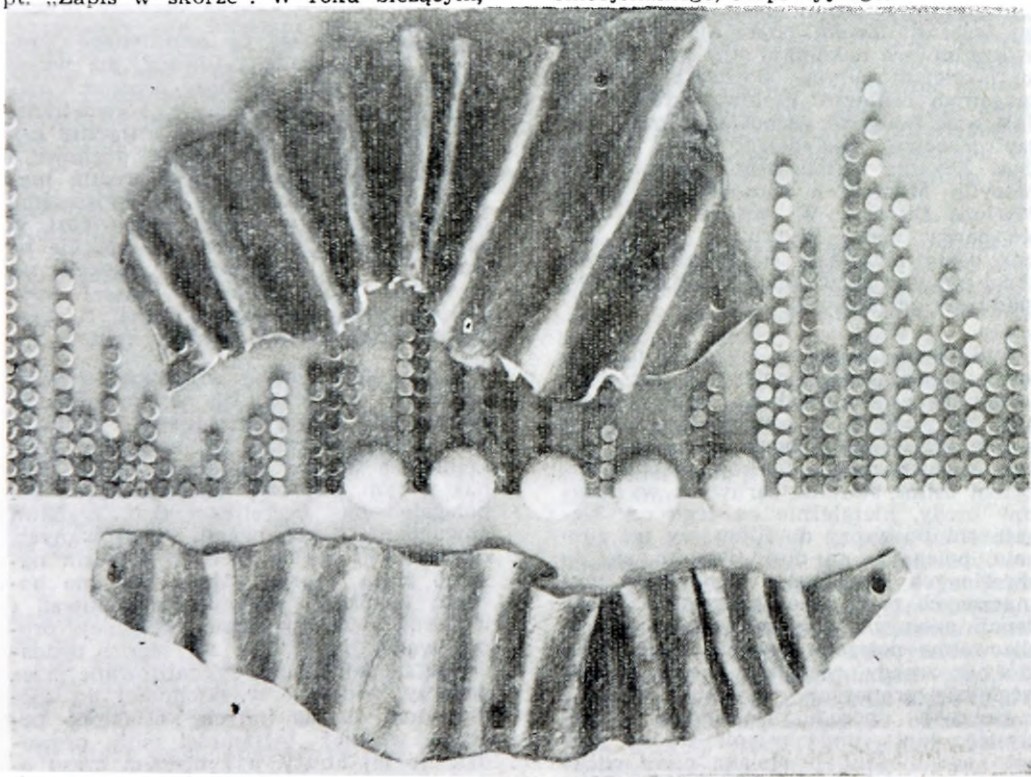
Skóra -materia zapoznana

We wrześniu w sali konferencyjnej zakładu garbarskiego w Dębnicy Kaszubskiej nastąpiło otwarcie wystawy poplenerowej VIII już edycji Pleneru Grafików pt. „Zapis w skórze”. W roku bieżącym,

tak jak i latach ubiegłych, w plenerze uczestniczyli artyści różnych dyscyplin sztuki, różne też są efekty tego eksperymentu, bo wciąż jeszcze plener, właśnie ze względu na materię, traktowany jest jako eksperymentalny, choć dawno już określenie to przestało funkcjonować.

Zasadność tego potwierdzają efekty tej edycji szczególnie interesującej. Choć można by powiedzieć, że nie odbiegają one od propozycji artystów z roku ubiegłego, czy lat poprzednich. Są to jednak wyjątki oderwane i nie one stanowią o wartości propozycji artystycznej roku. Uważny odbiorca dostrzeże zapewne, że w plenerze uczestniczyli artyści, którzy doświadczenie zdobywali w latach poprzednich. Dla nich więc skóra jest już materią zapoznaną. Stąd, myślę, wypływa wartość pokazanych na wystawie dzieł.

Oceniając wystawę, najogólniej można powiedzieć, że nie wyszła ona poza ramy abstrakcjonizmu, jednej z najważniejszych tendencji sztuki XX wieku, i wszelkich wypływających z abstrakcjonizmu kierunków artystycznych: kubizmu, futuryzmu, konstruktywizmu, taszizmu, symbolizmu itp. z widocznym podkreśleniem nurtu emocjonalnego, ekspresyjnego.



Ekspresyjność widoczna jest we wszystkich pokazanych pracach, a w większości z nich artyści świadomie odeszli od funkcji odtwarzania, interpretowania przedmiotów występujących w rzeczywistości. Ich propozycje to autonomiczne formy i struktury podporządkowane możliwości materii.

Czy oznacza to jednak, że artyści podporządkowując się materii, autonomiczność rozumieją jako całkowite zerwanie, oderwanie od korzeni tradycji sztuki w ogóle, czy XX wieku choćby? Takie twierdzenie byłoby nonsensowne. Artysta mimo woli znajdując się w orbicie działania różnych wpływów, różnych kierunków i dążeń interpretuje je i przetwarza, ujawnia swoje przeżycia, swój stosunek do tego, co go otacza. A ten stosunek do świata z zasady jest emocjonalny. Stąd często — i na wystawie jest to widoczne w formie — stosuje zdecydowane środki wyrazu prowadzące aż do szokującej deformacji. Jest to swoisty bunt przeciw cywilizacji przemysłowej w obronie jednostki i jej praw.

Tak to odczuwam, choć brzmi to zapewne niewiarygodnie, zważywszy, że tworzywem jest tu produkt cywilizacji przemysłowej. Widoczne jest to np. w pracach Włodzimierza Kolk-Topaczewskiej „Lis o napędzie odrzutowym...”, czy „Wążka Kaszubska...”. Odczytuję to jako protest przeciwko niszczeniu środowiska, zagrożeniu życia człowieka. Nie inaczej chyba należy

rozumieć utrzymaną w żartobliwym tonie, ale wymowną pracę Jakuba Erola — ręką pokazującą figę wyrastającą z płaszczyzny obrazu utrzymanej w czerni, co dodatkowo potęguje wrażenie i nadaje czytelnego odbioru. Albo też pracę Mirosława Jarugi — postać kobiety w ramie okoloną sznurem. Czy wreszcie „Łza Syzyfa” Bożeny Jankowskiej. Podteksty semantyczne i asocjacyjne są tu wyraźnie czytelne mimo sprowadzenia ich do symbolu. Równie ciekawe są pozostale prace Mirosława Jarugi. Duży ładunek ekspresji zawarły w sobie „Ptaki” Ignacego Bogdanowicza, choć przewrażliwiony odbiorca może w nich dopatrzeć się nurkujących samolotów, jako swoiste „memento” artysty. A Pukaczewski wystawił prace stonowane, wygrane kolorem naturalnym i podkolorowaniem skóry. Nie wychodzą one poza poprawność. Dotyczy to również Zdzisława Kadziewicza, jego formy wolne są lepsze od aktu. Janina Sawicka (komisarz pleneru) wystawiła kilka prac granicznych o dużym ładunku ekspresji, kolorystycznie ciekawe.

W plenerze i wystawie wzięło udział 16 artystów. Mimo iż nie wymieniam wszystkich nazwisk nie oznacza to, że ich prace pozostały nie zauważone.

Wystawa w Dębnicy Kaszubskiej eksponowana będzie do 15 października. Potem zostanie przeniesiona do któregoś z saloonów w Słupsku.

CZESŁAW GOMULKIEWICZ

Co mógłbym o nim powiedzieć? Mężczyzna w sile wieku. Pięćdziesiąt, najwyżej pięćdziesiąt pięć lat. Uśmiechnięty, uprzejmy, bezpośredni. Tak, na pewno bezpośredni. Prawe ramię ma jakby opuszczone, bezwładne. To po kuli z wojny, która uczyniła go kaleką. Nazywa się Jan Dylewski i... p i s z e bajki.

Pan Jan

Za górami, lasami, za siedmioma rzekami
Żył hrabia Sobiepanek bogaty
Codziennie z rana, gdy wchodził do komnaty
Czekały na niego sługi w pokorze
I opowiadały bajki, jakie dzieją się we dworze...

Z rozmowy: Wie pan, przed wojną taki robotnik z majątku był cwany, ale ambicję miał. I majątki wyglądały nie tak jak dzisiaj. A też trzeba było obrobić te dziewięćset hektarów i traktorów nie by-

ło. Ludzie wszystko musieli wykonywać ręcznie. I ziemia się nie marnowała, przynosiła panu dochody. Ludzie nie darzyli dziedziców sympatią, to trzeba przynosić. Ale gospodarność widać było na każdym kroku. A dzisiaj...

Łąki zielone, łąki pachnące
Nad którymi poetów tysiące
Upajało się waszym urokiem
Marniejecie zapomniane.
Dlatego, że pegeery gardzą trawą i sianem.

Nie chcą was kosić ani wypasać
Twierdzą, że przez was nieszczęścia i strata.

Z rozmowy: Ludzie mnie nie lubią. Mieszkam w dużym bloku, a czuję się

jakbym mieszkał w oddalonej leśniczówce. Zdarza się, że nie odpowiem na „dzień dobry”. Często słyszę jak mówią o mnie źle. Nie kochają prawdy...

Zaczynając kolejną bajeczkę zadam pytanie:
Czy sprawia państwu przyjemność bajek czytanie?
A jeśli bajeczka moja choć ździebko ruszy ludzkie sumienia
Zatem pominiemy rozczarowania złudzenia...

Z listu: W 1947 roku dosłownie chodziłem od chałupy do chałupy w rejonie Borów Tucholskich i agitowałem przed wyborami. Często głodny, bez papierosów, wysmiewali nas bogaci z PSL. Grasowały jeszcze niedobitki „Łupaszki”, „Burego”. Partia była w konspiracji. Ale gdy w spięciach na zebraniach dochodziło do wspomnień walk z Niemcami, zaciętrzewienie milkło. Łączyła nas jedność poglądów. Dziś nie ma tej jedności i brak jakiegokolwiek bojowości.

Krówka ryczy, świnka kwiczy
Chłop zaś słucha no i liczy:
Sprzedać pegeerom warchlaki
To zysk będzie nijaki.
Jakby hodował barany
To znów manipulują cenami.
I tak wszyscy mądrzy Polacy
Wcale nie kwapią się do pracy.
Chcą odpoczywać, bawić się, pić
I kosztem państwa dostatnio żyć.

Z rozmowy: Pochodzę z byłego powiatu grudziądzkiego, ze wsi Miszek. Do wojny sąsiad żył zgodnie z sąsiadem. Gdy weszli Niemcy, okazało się kto Polak, a kto nie. Jako czternastoletni chłopak pod lufą karabinu maszerowałem przez pięć kilometrów. Prowadził mnie sołtys naszej wsi. Potem walczyłem w partyzantce. Rozbrajałem majątki w Szubinie, Kobylinie, Zawadach. W sierpniu czterdziestego trzeciego Niemcy ranili mnie. Oddzielił nas zostali rozbity. Trzeba było iść do obozu w Dachau...

Rywiąc reżimy lubiane
Lecz gdy są za oceanem,
Ideologia — także czasem
Gdy są za siedmioma górami
Ale najpewniej jest, naj..., naj..., naj...
Gdy się docenia własny kraj.

Z listu (do „Zbliżeń”): Czytając komentarz red. Wiesława Wiśniewskiego pt. „Wszystcy na pegeerowskim chlebie” stanęły mi przed oczyma szydercze i nie-nawidzące twarze. Dużo twarzy z wyrazem szyderstwa. Wśród nich eks-niby-chłop, który swbko pozbył się gospodarstwa, mieszczuch na plaży, któremu mimo upału myśl, że mógłby ciężko pracować w pegeerze, np. przy żniwach zmro-

ziłaby krew i cała reszta tych, którzy sądzą, że wystarczyłoby spełnić warunki Reagana, a nie trzeba byłoby pracować i wszystkiego byłoby w oród. Sądzę, a myślę, iż sam p. Wiśniewski nie zaprzeczy, że gdyby ta zgraja mogła to wywierciłaby autorowi takiego komentarza wielką dziurę w ciele.

Z rozmowy: Wiele razy dyskretnie odchodziłem od okna, by nie uchylić firanek, gdy dobrzy sąsiedzi zgarniali z przy-czepy pegeerowskie zboże. Raz w sklepie w cztery oczy powiedziałem pani Szałwińskiej, iż mogliby się ustawić inaczej, gdy biorą pegeerowskie, tak żeby chociaż ludzie nie widzieli.

... Tu pan zagłada, tam przystaje i głuchym
głosem powtarza: kulta!e!
Co się dalej działo tyle tylko wam
powiem,
Ze ten Sobiepanek dawno leży w grobie.
I na szept bajek służby szczerze zatyka
uszy.

Zapewne domyślacie się dlaczego —
Oczywiście przekonał się, że pańskie oko
konia tuczy.

Jan Dylewski sam o sobie: Nigdy nie byłem zakłamanym, ani zawistnym, zaś wiara tkwi we mnie taka, iż Stwórcę pragnie od człowieka czegoś więcej niż fałszywej, cynicznej nadgorliwości. Jako kombatan, były żołnierz AK, łączę mnie współczucie oraz solidarność ze wszystkimi weteranami walk na całym świecie, którzy krew, pot i cierpienia oddawali za to, aby mieć wolny i niepodległy kraj. Polska, jej dobro zawsze pozostanie dla mnie celem nadrzędnym.

Słowo się rzekło, kobyłka u płotu
I mamy slogan akurat dla chłopów.
Oczywiście z takich sloganów chłop nie
kontentny

To gadają za niego różne chwaliپیety.
(...)
Gdyby dobra przybywało w takiej jak
sloganów mnogości
To gdzieżby tam u nas mógł krzyż
zagościć.

Z listu: Już trzy razy z rzędu paliłem stosy podobnych gyzmołów i powracają one do mnie jak duchy. Są one dla mnie tym czym mogłyby być hodowane kanarki lub świnki morskie. Jedne lubię bardziej, inne mniej, ale wszystkie kocham.

Jan Dylewski mieszka w Drzeżewie, pegeerowskiej wsi w gminie Główny. Żyje z renty inwalidzkiej, trochę z ryb które czasem uda mu się złowić w izbieckim jeziorze, trochę z przestawiania pieców. Kiedyś był bowiem również zdunem.

ZBIGNIEW BABIARZ-ZYCH

PREZENTACJE

Za dwa lata stary dom nad Słupią stanie się pewnie przedmiotem jednodniowej, jubileuszowej sławy, po której znowu zapanuje w jego murach gwar szarej codzienności. Rzadko w domach kultury istnieje tak silna więź między starym i nowym — jak to ma miejsce w Młodzieżowym Domu Kultury w Słupsku. Uwidacznia się to już na zewnątrz placówki — stary, mieszczański budynek, a wewnątrz nowoczesne wyposażenie i hałas młodych głosów. Szara, smutna elewacja nie zapaowiada kameralności i przytulności gabinetów specjalistycznych, gdzie uczestnicy poznają tajniki wielu dyscyplin artystycznych.

Więzi

JOLANTA NITKOWSKA

Słupski MDK stanowi rzadki przykład stabilności fachowej kadry i organizatorów. Od chwili powstania MDK pracuje w nim **Janina Krycka** — niezwykle ofiar-na nauczycielka haftu.

Dyrektor Młodzieżowego Domu Kultury — **Walenty Szymczewski** — twierdzi, że uczennice pani Janiny można by już liczyć w tysiące. Wbrew prognozom sceptyków, sztuka hafciarska nie umiera, ani nie odchodzi w przeszłość jako znak dawnych czasów. Co roku z niepokojem czeka pani Krycka na zapisy do sekcji. Może tego roku nie będzie chętnych — martwi się od lat. Zawsze jednak okazuje się, że spora jest grupka dziewcząt, które zainteresowały uroki haftu. Spora to załuga samej instruktorki utrzymującej niezwykle żywe kontakty ze swoimi podopiecznymi. Do niej biegły po maturze, pochwalic się wynikami, ona otrzymuje listy z oświadczeniami o dorosłym już życiu, jej znoszą własne kłopoty i radości. Może w poczuciu ogromnej sympatii niedysiejsze uczestniczki przyprowadzają na zajęcia haftu własne córki, a te z kolei przenoszą własne umiejętności do szkół — do środowiska koleżanek. Słupszczanie pamięta-

ją zapewne wspaniałe wystawy hafciarskie prezentowane w witrynach Domu Towarowego „Centrum”. Dziś dyrekcja tej placówki handlowej przestała proponować młodzieży udział w tej, jakże atrakcyjnej niegdyś inicjatywie. A sekcja hafciarska nadal ma się czym pochwalić. Może więc warto wrócić do dobrych tradycji sprzed lat a nawet rozszerzyć je o prezentację osiągnięć innych sekcji? Zwłaszcza, że witryny sklepowe są nieciekawe, a stworzenie możliwości ekspozycyjnych dzieciom słupszczan jest akcją godną popierania.

Gdyby prześledzić losy byłych uczniów instruktora muzycznego — **Władysława Tomali**, to okaże się że pod jego okiem wyrosło wiele muzycznych sław.

22 lata uczy Władysław Tomala podstaw gry na akordeonie. Dzięki jego osobistemu zapalowi z życia muzycznego miasta nie znikła jeszcze, niepopularna od kilku lat nauka gry na mandolinie. Niepokojny, ciągle twórczy muzyk szuka nowych form pracy z zespołami młodzieżowymi. W jego gabinecie zgodnie się uzupełniają zajęcia mandolinistów i głośnie próby zespołów mocnego uderzenia.

Dwudziestoletnim stażem pracy legitymuje się **Aniela Majewska** — instruktor taneczny. Od wielu lat jest znana z prowadzenia wielu różnorodnych zespołów tanecznych. Jednak lokalną sławę zyskała dzięki zespołom tańca towarzyskiego, które wydają się być jej ulubioną formą zajęć. Dość napisać, że w roku 1994 Aniela Majewska zdecydowała się utworzyć klub tańca turniejowego, który będzie przygotowywał pary taneczne do udziału w mistrzostwach. Pomyśl to na miarę ambicji i umiejętności instruktorów MDK. Jest więc nadzieja, że ujrzymy słupszczan w czółowce krajowej tej pięknej dyscypliny, jaką jest taniec towarzyski. Chętnych przychodzących na kursy tańca towarzyskiego nie brakuje, dobrze się więc stało, że talenty nie zginą w tłumie szkolnych dyskotek, ale zostaną otoczone właściwą opieką.

Gustom młodych, zwłaszcza męskiej części, odpowiadają zajęcia radiotechniczne. Młodzieżowy Dom Kultury zawsze przyciągał rzesze chłopców zainteresowanych obsługą i konserwacją sprzętu audiowizualnego. Nic więc dziwnego, że i dziś w studiu nagrań tłok. Pod okiem **Włodzimierza Kwicień**, od 20 lat panującego w tej placówce, chłopcy uczą się korzystać ze sprzętu nagłaśniającego. W zamyśle instruktora jest przekazanie wiedzy niezbędnej do samodzielnej organizacji szkolnych dyskotek, umiejętności konserwacji sprzętu oraz obsługi imprez masowych. W tym roku, na prośbę młodzieży, Włodzimierz Kwicień zdecydował się założyć fan-club zespołu „Azyli-P”. Jakie będą jego dzieje? Czas pokaże. Z latami, mimo stabilności kadry, zmienia się formy pracy domu kultury. Muszą one bowiem przystawać do wymagań uczestników. Nie prowadzić się więc już, popularnych w latach sześćdziesiątych, kursów motorowych. Śmiercią naturalną zginęły naukowe koła biologiczne. Zanika też działalność kół filatelistycznych.

Niesłabnącą od lat popularnością cieszą się natomiast sekcje modelarskie. Ta najmenniejsza działalność, bez znaczącej ciekawości, dokładności i technicznej wyobraźni, stała się swoistą szkołą kadry. Rowiem z grona uczestników wywodzi się dziś instruktorzy — **Marek Sadowski, Wiktor Nowik, Tomasz Pyżlak, Jacek Winnicki**. Kiedy zwiedzałam pracownię modelarską panował tam taki tłok, że dla wielu chłopców nie starczyło miejsca przy stołach. Zakłopotany instruktor narzekał na ciasnotę. Na pytanie, dlaczego nie rozbuduje się pracowni modelarskiej skoro towarzyszy jej działalność tak osromne zainteresowanie, dyrektor rozłożył bezradnie ręce.

— Gdzie ją rozbudować? Byłaby, owšem, szansa modernizacji, gdwoy z budynku MDK wyprowadził się lokator, który i tak nie ma warunków do pracy (bo za ciasno), a jego pomieszczenia były potrzebne do przeprowadzenia zmian. Szkolny Związek Sportowy, bo on jest tym uciążliwym lokatorem, męczy się w złych warunkach, a swoją obecnością przeszkadza gospodarzom.

Działalność Młodzieżowego Domu Kultury płynie dwoma nurtami. Jeden stanowią niezmiennie od lat zajęcia nauki gry na instrumentach, tańca, haftu, zajęcia plastyczne i fotograficzne. Drugim nurtem są nowatorskie przedsięwzięcia instruktorów. W roku 1984 będą to: rytmika umuzykalniająca dla 6-latków połączona z kursem języka niemieckiego, galeria malarstwa dziecięcego, międzyszkolna sekcja szachowa i wreszcie novum w skali województwa — stałe porady kosmetyczne dla młodzieży.

Corocznie dom kultury odwiedza około tysiąca stałych uczestników zajęć. Dyrektor Walenty Szumczewski wierdzi, że zainteresowania kulturalne młodzieży wymagają badań, żeby ofertę właściwie przygotować. I to jest pole do popisu dla słupskiej WOP, której badania mogłyby pomóc w praktycznej działalności placówek upowszechniania kultury. Póki co, cieszyć powinna intuicja instruktorów MDK nie rozmiągająca się z gustami młodzieży. Cieszyć może także zainteresowanie, jakim ta placówka otacza swoich byłych podopiecznych. Pracownicy MDK są dumni ze swych wychowanków, śledzą ich życiowe losy, czego dowodem może być chociażby zestaw nazwisk ludzi, którzy pierwsze kroki stawiali na scenie domu nad Słupią. Przyjrzyjmy się tej liście. Niedysiejsi uczestnicy sekcji muzycznych: Anna Dąbrowska, Józef Lewandowski, Leszek Jeziorowski, Zofia Mazur, Konrad Dąbrowski — dziś pracują jako nauczyciele. Zawodowymi muzykami stali się: Aleksander Sliwa, Rożena Igła, Zygmunt Goś, Bogdan Taraszkiewicz. Do szkół filmowych, teatralnych i estrad trafili byli uczestnicy zespołów tanecznych — Ewa Gwardzik, Krzysztof Kluzik, Tadeusz Rokicki, Krzysztof Ciołgowski, Wiesław Kowalski. Pracownikiem MDK została była tancerka „Wiru” — Danuta Tabisz. Lista ta jest niepełna. Po świecie rozsypali się ludzie, którzy w Młodzieżowym Domu Kultury znaleźli receptę na bogatsze życie. Jeżeli po latach znajdując czas, żeby w dniu jubileuszu 30-lecia placówki zajrzeć na jej podwórko, będzie to znak, że nie umarła ta więź, jaką jest sentyment do miejsc związanych z czasami młodości.

Gorzki smak czekolady

KAZIMIERZ KWIECIEŃ

Otrzymałmśmy 17 milionów na rozbudowę fabryki. Rozpoczęto budowę magazynu surowców i opakowań, a także dwupiętrowego budynku przeznaczonego na magazyn i ekspedycję gotowych wyrobów, na I piętrze nowy dział galanterii czekoladowej, na drugim — szatnie damskie, wanny, prysznice. Udało nam się uzyskać — od Zakładu Energetycznego — duży teren przylegający do fabryki, gdzie składowaliśmy zapasy węgla. Rozpoczęto budowę nowego dźwigu. Pierwszy dźwig budowany w innym końcu zakładu przeznaczony był do transportu syropu do zlewni na pierwszym piętrze i do transportu cukru do zsypu.

Kotłownia z roku 1950 okazała się niewystarczająca, gdyż jej kocioł o powierzchni ogrzewczej 84 metry kw. dawał za mało pary wobec wciąż zwiększanych planów produkcji. Postanowiliśmy dostawić nowy kocioł o powierzchni 100 m kw. Kierownikiem inwestycji był kol. Adam Klusek, mężczyzna w wieku trzydziestu kilku lat. Inteligentny, dobrze znający przepisy inwestycyjne, ale bardzo skrupulatny formalista. Było wczesne lato, gdy zakupiono nowy kocioł, przyjechali przedstawiciele przedsiębiorstwa instalacji kotłów parowych z Poznania i zapewnili, że przystąpią do robót, gdy tylko fabryka dostarczy wszystkie potrzebne materiały, jak cegły zwykłe i szamotowe, cement, wapno, glinę szamotową, pręty do uzbrojenia ławy pod kocioł itp.

Kierownik techniczny kol. Mikołajczak i kierownik inwestycji kol. Klusek przyreklili dostarczyć owe materiały w krótkim czasie, powysyłali zamówienia i... czekali. A czas uciekał. Aby wprowadzić nowy kocioł do kotłowni trzeba było rozebrać jedną ze ścian zewnętrznych i podeprzeć stemplami ścian, aby się nie zawalił. Często ponaślę kol. Mikołajczaka i Kluska o przypieszenie dostawy materiałów, ale oni bezradnie rozkładali ręce.

Fragmenty wspomnień z pierwszych lat w Słupsku (11)

We wrześniu kol. Mikołajczak wziął miesięczny urlop i wyjechał, a kilka dni później kierujący inwestycją kol. Klusek okazał mi skierowanie do sanatorium. Byłem zaskoczony takim obrotem sprawy.

— Gdybym wiedział, że stara się pan o sanatorium, nie pusiłbym kol. Mikołajczaka na urlop. Siedzicie obaj, przeciw siebie, w jednym pokoju i mogliście przecież między sobą uzgodnić urlopy i nie zaskakiwać mnie jednoczesnym wyjazdem. A kotłownia stoi podparta stemplami, materiałów wciąż brak, nadeszła jesień, przyjdzie zima i będzie katastrofa...

W tym czasie na stanowisko kierownika administracyjnego zaangażowany został kol. Zdrojewski. Podobał mi się, świetnie dawał sobie radę z wszelkimi kłopotami. Gdy opowiedziałem mu o swoim kłopotcie z kotłownią zapewnił mnie, że dla niego to drobiazg, że potrzebne materiały budowlane będą miały choćby zaraz. Rozmawialiśmy rano, a po południu już zwieziono cegły i glinę szamotową. Na drugi dzień już były pręty zbrojeniowe i kilka samochodów zwykłej cegły. Telefonicznie zawiadomiliśmy przedsiębiorstwo instalacji kotłów w Poznaniu, gdzie zapewniono nas, że za kilka dni przyjadą do Słupska. Chodziło jeszcze o kilka wagonów zwykłej cegły. Kolega Zdrojewski wyjechał w tej sprawie i wkrótce wagony zaczęły nadchodzić. Przyjechali specjaliści z Poznania.

Robota ruszyła ostro i pod koniec września drugi kocioł był zainstalowany, obmurze i ściana zewnętrzna gotowa. Zabraniłem palaczom rozpalać węglem nowego kotła, gdyż świeże obmurze mogłoby popękać. Palić tylko drewnem, aby mur wysychał. Ale po kilku dniach, główny mechanik doszedł do wniosku, że obmurze kotła już jest suche i polecił palić węglem. Obmurze zaczęło się rysować. Główny mechanik „oberwał” za swoje.

Wrócił Mikołajczak i Klusek. Musieli być niemile zaskoczeni, bo nawet nie zapytali, w jaki sposób zdobyliśmy materiały, o które oni nie umieli się postarać w ciągu wielu miesięcy.

Wkrótce Ludwik Mikołajczak opuścił swoje stanowisko kierownika technicznego i wyjechał do Bydgoszczy. Na jego miejsce przybył — już główny inżynier — mgr inż. Stecki.

W lutym 1960 r. niespodziewanie zjechali do fabryki: minister Pisula, wice-minister Ochab, wiceminister Rumiński, przewodniczący WRN inż. Tomal i delegat CK Zw. Zaw. (nazwiska nie pamiętam), przewodniczący MRN mgr K. Cieślak, ze Zjednoczenia zaś dyr. Roubinek i gł. inżynier W. Bańkowski. Poszliśmy na budowę. Budynki w stanie surowym, nie otynkowane, ale już pod dachem. Na pierwszym piętrze minister zapytał:

- Co tu będzie?
- Hala galanterii czekoladowej, formowanej.
- Ile?
- Sto ton rocznie.

Nie był zadowolony.

- Co? Sto ton? Tyle pieniędzy zainwestowanych, a efekt śmiesznie mały!
- Tysiąc dwieście musicie robić!

Zatkało mnie. Minister zirytowany był nie na żarty. Dyrektorzy ZPC, którzy taki kierunek i plan założyli, milczeli. Co prawda minister zwracał się tylko do mnie.

— Towarzyszu ministrze, dokumentacja zakłada tu tylko galanterię formowaną...

Zreflektował się. Jest ogromna różnica między galanterią formowaną (w foremkach) a oblewaną (na taśmie kademy).

- To róbcie oblewaną.
- Nie projektowano ani kademy ani mogula...
- Dostaniecie.

Na tym skończyła się rozmowa, ale od niej rozpoczął się mój upadek. Należało od nowa opracować technologię wersji produkcji galanterii czekoladowej. Jedyny czekoladziarz w fabryce, majster Brugier, gdy dowiedział się o 1200 tonach „oblewanej”, złożył rezygnację.

— Szkoliłem garść ludzi w „formowanej”. Nie podejmuję się robić 1200 ton. Tu trzeba wielu fachowców, a takich brak...

Po trzech miesiącach odszedł.

Któregoś dnia — wiadomość. Na dworcu kolejowym w Słupsku stoi „Mogul” i „Kadema” z importu. Minister był słowny. Ale nowo wybudowana hala przewi-

dziana dla galanterii formowanej ma 40 m długości, zaś otrzymana „Kadema” liczy sobie 39,5 m. Jak dostarczać surowce czy półfabrykaty i gdzie odbierać gotowy produkt?

Postanowiliśmy dział galanterii oblewanej urządzić z bylejakiej sali, gdzie mieściła się zawijalnia ręczna i maszynowa. W przystawionym obok, pięć lat temu budynku zaplanowaliśmy teraz ustawić „Mogula”, ale obliczenia statystyczne na to nie pozwoliły. Zawali się.

Wezwałem ekspertów budowlanych. Orzekli, że trzeba rozebrać ten budynek sprzed 5 lat i postawić nowy.

— Kto weźmie na siebie odpowiedzialność za rozbiórkę nowego, bo zaledwie pięcioletniego, zdrowego budynku?

Zapachniało kodeksem karnym. Przecież prokurator miałby pełne prawo oskarżyć mnie o lekkomyślne trwonienie państwowych pieniędzy. W końcu stanęło na tym — i to już załatwiło ZPC — że „Mogul” zabierze fabryka „Wawel” w Krakowie, w zamian przysła nam używany, znacznie mniejszy, przez to i lżejszy.

Któregoś dnia wyjechałem służbowo z inż. Steckim, nowym głównym inżynierem do Gdańska. Gdy wróciłem — na drugi dzień — przyszła do mnie tow. Matusik, sekretarz POP i zapytała czy wiem, że wczoraj ksiądz poświęcił fabrykę. Myślałem, że żartuje. Majster Kozyra miał brata księdza. Nowy kierownik administracyjny Zdrojewski też. Ten ksiądz, braciśzek Zdrojewskiego przyjechał do Słupska na urlop i chciał zobaczyć fabrykę. Mnie i Steckiego nie było. Zdrojewski wprowadził brata, na portierni oświadczył, że wprowadza księdza za moją wiedzą. Widocznie sprawa była ukartowana, bo dewotki zawiesiły na halach krzyże, przygotowały wodę święconą i kropidlą. Ksiądz zwiedzał, kropił i przepędzał diabła z państwowej, socjalistycznej fabryki. Organizatorką tych „święceń” była pewna starsza kobieta, która — łącznie z innymi, była w zмовie z Kozyrą i ze Zdrojewskim. Wkrótce potem owa pobożna niewiasta została usunięta z fabryki za kradzież. Widocznie, któryś z szatanów w czasie święcenia zakładu gdzieś się zaczął i teraz ją skusił.

Po „wyświęceniu” wybuchła solidna awantura. Sekretarz Komitetu Miejskiego tow. Szuflika był zaskoczony. Ja — również. Zwolniliśmy z fabryki majstra Kozyrę i kierownika Zdrojewskiego. Moja opinia ucierpiała.

Znana słupska pisarka — Anna Łajming obchodziła niedawno 80 urodziny. Redakcja „Gryfa” składa dostojnej jubilatce życzenia zdrowia, pogody ducha i dożycia stu lat w pełni mocy i radości twórczej oraz w atmosferze ludzkiej życzliwości.

Codzienny świat zwyczajnych ludzi

— Pani Anno, na przykładzie Pani życia zrealizowało się stare powiedzenie, że na twórczą działalność nigdy nie jest za późno. Zaczęła Pani przecież publikować swoje utwory od 54 roku życia...

— Późno debiutowałam. Zresztą nigdy wcześniej do głowy by mi nie przyszło, że zostanę pisarką. Kiedy byłam dzieckiem bardzo chciałam malować. Potem, zapatrzona w talenty muzyczne rodziny ojca, chciałam grać albo śpiewać. Te moje artystyczne marzenia spełniły się po latach... Malarzem został mój syn, muzykiem będzie wnuczek. Tak życie pozmieniało pierwsze marzenia. Moje kontakty z literaturą też na początku były inne. Rodzina zawsze kojarzyła mnie z książką rozłożoną do czytania. Dużo czytałam. Przypadek zrzucił, że zaczęłam pisać. Zaczęło się od króciutkiego szkicu „Parzyn”, który napisałam na konkurs „Głosu Koszalińskiego”. Potem dałam się namówić na napisanie kilku scenariuszy dla teatrów amatorskich.

— Nigdy wcześniej Pani nie pisała?

— Nie. Lubiłam natomiast opowiadać? Z czasów młodości pamiętam, że rodzice zachęcali mnie do opowiadania różnych zdarzeń. Były to, takie zwyczajne sprawy z życia wsi. Słuchała mnie cała rodzina. Schodzili się w kuchni, a ja opowiadałam...

— Te zwyczajne sprawy z życia wsi stały się także motywami literackimi Pani książek.

— Proszę pani, po co ja miałam zmyślać, kiedy moje życie było takie ciekawe. Moim światem był kawałek Kaszub — Przymuszewo, Parzyn, Chojnice... Te, moje strony rodzinne zawsze były mi bliskie. Dziś wracam do nich we wspomnieniach. Kiedy byłam młoda wszystko mnie ciekawiło. Kurano mnie czasem za wścibstwo. Musiałam być tam, gdzie się coś działo. Potem w czasach bezrobocia, kie-

dy siedziałam na garnuszku u rodziców w Parzynie, z nudów obserwowałam ludzi. W moich książkach znalazło się ich życie: bieda, beznadziejność, przywiązanie do ziemi, strach przed nieznanym, ciemnota, życie towarzyskie i rodzinne. Moimi bohaterami zostali ludzie, wśród których żyłam. Zwyczajni chłopcy z ich codziennym bagażem wiejskich spraw.

— Pierwszy okres Pani twórczości to króciutkie opowiadania z życia kaszubskiej wsi zebrane w tomikach „Miód i mleko” oraz „Symbol szczęścia”. Do którego z utworów tego okresu jest Pani szczególnie przywiązana?

— Znalazłoby się kilka takich. Może wybrałabym opowiadanie „Kret i kogut”. To był trudny okres w moim życiu. Po śmierci męża przestałam pisać. Dopiero po wielu namowach działaczy Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego znowu zaczęłam pisać. Pamiętam, że bardzo się broniłam przed pisaniem. Aż wreszcie tak mnie omotali, iż zgodziłam się sięść za biurkiem. Chyba wtedy przeżyłam przełom, bo nagle zrozumiałam, że dzięki pisaniu odnalazłam sens życia.

— Z Pani opowieści wynika, że do pisania potrzebny był Pani „bat nad głową”. Tak było w przypadku pierwszych opowiadań, tak było i w późniejszej twórczości. Musiała Pani być pilnowana i namawiana.

— Chyba ma pani rację. Trzeba było mnie zmuszać do pisania. Długo się broniłam. Potem z reguły kapitulowałam i... pisałam. Najpierw pilnował mnie Lech Bądkowski i Tadeusz Bolduan, potem działacze Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Gdańsku.

Przerw w pisaniu było do tej pory kilka. W 1975 roku we Wdzydżach było spotkanie działaczy Zrzeszenia. Wtedy właśnie nie pisałam. Na tym spotkaniu

wszyscy zaczęli na mnie krzyżeć. Przejęłam się. — Co mam pisać — zapytałam. — Pisz chociażby wspomnienia — usłyszałam. Pomyslałam sobie, że to chyba potrącić zrobić. Zaczęłam i tak się rozkrecałam, że napisałam do redakcji „Pomeranii” — O ja tego chyba nigdy nie skończę. A oni odpowiedzieli — „nie szkodzi”. Pisałam te wspomnienia siedem lat. To było wielkie wrażenie. Jakbym jeszcze raz przeżyła to wszystko.

— Pani życie toczyło się poprzez wydarzenia dwóch kolejnych wojen światowych. Nie znajdują jednak one odbicia w Pani twórczości.

— Nie mam takiego talentu, żeby pisać o wojnie. Na to trzeba Dostojewskiego, nie Anny Łajming. To był zbyt wielki dramat Polaków, zwłaszcza tych na Pomorzu. Nie umiałabym tak tego napisać, żeby znalazła się tam cała prawda tamtych czasów.

— Nie sięga Pani także po czasy wojenne...

— Teraz, po dwóch latach przerwy w pisaniu spróbuję napisać opowiadanie,

które umiejscowię w powojennym Słupsku. Nie jest to łatwe, bo przeżycia są za świeże. Niech się pani nie uśmiecha. Proszę pamiętać, że ja mam już 80 lat! Chętniej sięgam do czasów młodości, ale to chyba zrozumiały sentyment.

— Drukowane w „Pomeranii” wspomnienia Anny Łajming cieszyły się niezwykłą przychylnością czytelników. Listów do redakcji było sporo. Czy nadal ma Pani dowody zainteresowania?

— Ludzie piszą do mnie nadal. Przesyłają stare fotografie, dzielą się wspomnieniami. Listownie rozmawiam z nimi jak ze starymi znajomymi. Cieszy mnie każdy list. Na każdy też staram się odpowiedzieć. Dużo ich czeka na odpowiedź, bo zdrowie mi nie pozwala na intensywną pracę. Coraz gorzej widzę. Literki są małe, a ja mam problem z ich przeczytaniem...

— Czego Pani życzyć w jubileuszowym roku 1984?

— Niech mi pani życzy ludzkiej przyjaźni to w życiu najważniejsze.

Rozmawiała JOLANTA NITKOWSKA



Wacław Pomorski — „Rajski ptak” (linoryt)

GŁOSY I POWIDOKI • GŁOSY I POWIDOKI • GŁOSY I POWIDOKI • GŁOSY I POWIDOKI • GŁOSY I POWIDOKI

Zmierzch Europy

Dzień, w którym Aleksander Gierymski wyszedł z paletą i sztalugami, aby malować plain'air naturę rozświetloną słońcem i drgającą nakładającymi na się cieniami w pełnym powietrzu, dał niewątpliwie początek dzisiejszemu, choć już zadministrowanemu, plenerom. Przeżywanie wszak natury, pragnienie zrozumienia jej tajemnego uroku i utrwalanie przeżywanego na płótnie, w dalszym ciągu wydaje się atrakcyjne artystom. Tym bardziej, że wydłuża się niebezpieczna droga prowadząca od człowieka do człowieka. Plenery to polska specjalność i nie tylko dla Polaków atrakcyjna. Ale bo też pełnią one rodzaj więzby scalającej nie tylko artystów prezentujących różne szkoły, tendencje i kierunki artystyczne, lecz — i może przede wszystkim — ludzi. Wlażłem w ten dziełny wiek i wyleść jakoś z niego nie mogę. Co posiedzę trochę w naszym wieku dwudziestym, to zaraz zaglądam mu pod podszewkę, a tam w wewnętrznej kieszeni *Katalog ilustrowany Wystawy Sztuki Polskiej 1764—84*), w którym, świetnym piórem Jana Bołoz-Antoniewicza napisanym wstepie, czytamy co następuje: *Gdy poezja umilkła, gdy w ciągu jednego dziesięciolecia zmarli trzej najwięksi poeci (Mickiewicz, Słowacki, Krasiński — AT), wówczas dopiero stała się sztuka prawdziwą potrzebą duchową, stała się koniecznością narodową. (...) Przychodząc, luzując oni (Grottger, Matejko — AT) wielkich poetów, obejmując po nich opiekę nad duchem narodowym, biorąc na siebie ich misję, podnosząc, co upadło, dźwigając z przeszłości, co groziło zapomnieniem, jednocząc duchowo, co politycznie jest rozdarte. Zdania te zostały opublikowane w roku 1894. Prawie sto lat temu. I sytuacja, choć społecznie różna, różna też politycznie, to przecież duchowo jakby z naszą — współczesną — tożsama. Czyli może więc istnieje ów spiritus movens dziejów, cywilizacji i kultury? Może jednak istnieje Duch Sztuki scalający, co rozłączone, zbierający, co rozsypane i odbudowujący, co leży w ruinach. Duch wolny i niezależny, choć nie obojętny. Cóż jednak Duch znaczy bez swojego medium — bez Człowieka? Nic nie znaczy, czyli nie istnieje. Można by ująć to w ten sposób, że Człowiek powołuje do istnienia Ducha, ten zaś wyswietla z człowieka Artystę. W naszym zracjonalizowanym świecie pełnym nieustannie napierających na nas rzeczy, dobrze jest wyobrazić sobie, że nie zależymy wyłącznie od siebie. Że nie wszystko jest jasne i prostacko oczywiste. W Życiu Literackim Marek Sołtysik cytuje dedykację Wojciecha Wyganowskiego: *Nie chodzi mi o to, żeby mnie zrozumiano, chodzi mi o to, żeby mnie odgadnięto*. Ważne niekiedy dzieje się właśnie poza wszelkim zrozumieniem. I czyż koniecznie trzeba wszystko rozumieć? Czyż nie wystarczy, aby po prostu odczuwać, ulegając nastrojowi chwili? W tym dzisiejszym zagonionym i umordowanym świecie. Sztuka usiłuje bronić swej niezależności, swego cesarstwa Wolności. Usiłuje, ale czy jej się to udaje? Wątpliwość ta stąd, że przynależy ona do sfery ludzkiego działania, które dziś bardziej niż kiedykolwiek podłączone jest do wspólnoty tworzącej rodzaj skomplikowanej maszynierii. Na szczęście, jeszcze na szczęście! artyści nie dają się zaprogramować, zunifikować, przebrać w jednakowe artystyczne kombinezony. W zabetonowanej rzeczywistości jeszcze porusza się i tłoczy krew żywe serce. Jeszcze, lecz jak długo? Może póki organizuje się plenery malarskie — i nie tylko — istnieje szansa, iż ludzie wypowiadając się językiem sztuki, językiem zindywidualizowanym, ocalą godność i niezależność. Boć język to wysoki. Nie ma równania do góry. Każde równanie — wreszcie uprzytomnijmy to sobie — jest li tylko równaniem do płaskości! Do jednostajnie szarego tła. Ach, nie jestem na tyle naiwny, aby widzieć w działaniach artystycznych remedium, tę wszechskuteczną dryjakiew na współczesne choroby. Wierzę jednak w sens Sztuki, w jej język — jedyny przecież język wspólny wszystkim ludziom niezależnie od barwy skóry i politycznej farbki, wyznania i narodowości. Świątynicy bylejakosć, pozorność i pazerność, ubożejemy duchem. Spłaszczamy perspektywę, aby widzieć tylko dziś i tylko siebie. Wszystko jest na niby — bo wszystko Erstatem. Życie literackie zastępuje życie polityczne, gry i tasowanie kart. Skrzętność pożerając człowieka. A przecież doświadczenie pokoleń uczy, iż sztuka — literatura i malarstwo — jest bardziej przewidująca od polityki, że artyści bardziej są wyczuleni na tętno chwili bieżącej, niż politycy. Ale oto pod różnymi szerokościami geograficznymi i różnymi metodami usiłuje się wtłoczyć artystów i tym*

samym sztukę w sztywne struktury schematów, gorzej — bo usiłuje się sztukę uczynić medium polityki. A jest tak — niestety — że artysta, który zaczyna realizować program polityczny, kończy się jako artysta. Drewnieje jego myślenie, wyobraźnia, oko, ucho i ręka. Serce zmienia się w żużel, rozum zaś staje się uległy. Wrażliwość na świat, naturę i drugiego człowieka zastępuje żelazna klatka doktryny. I na wszystkim grubo popiół schematyzmu. Czyli mam przypominać precedensy? Historia sztuki dostarcza aż nadto dowodów i smutnych przykładów wybitnych niekiedy indywidualności, które pozwoliwszy się wmanewrować w sferę działań poza-artystycznych, zostały tym samym i jednocześnie wymanewrowane ze sztuki i osiadły na bocznym torze. Ostatnio wiele się mówi o Polsce, oczywiście w tzw. kręgach intelektualnych, o transgresji. Szkola prof. Marii Janion — nie bez racji — święci triumf! To także *signum temporis*. Osaczony człowiek, osaczony narastającą grozą wojennej zawieruchy, martwieciem języka sztuki, w którą zresztą sam siebie zakleszczył. Jedną z nich jest próba wyjścia poza swoje możliwości, poza determinanty. W swej arcydziełnej książce¹⁾, w zakończeniu André Malraux — jeden z największych pisarzy i myślicieli XX wieku — pisze: *Czy pogodzimy się z tym, aby w człowieku widzieć zwierzę, które musi myśleć o świecie, z natury rzeczy wymykającym się ludzkiemu myśleniu? Czy też przypominamy sobie, że zasadnicze przełomy duchowe były zawsze nie do przewidzenia? Ponad wszystkie oczywistości i dogmaty, ważniejsze są wątpliwości i znaki zapytania, gdyż właśnie one dramatycznie — niekiedy nawet tragicznie — formułują ludzkie decyzje i kształtują drogi rozwoju. Rozmyślając nad zmiernym europejskiej cywilizacji i kultury, myślę wszak przede wszystkim o szansach jej ratowania. Te zaś upatuję, przede wszystkim — bo jakże mógłbym inaczej — w komunii artystów dobrej woli. Sztuka bowiem to Jestność skupiająca w sobie przeszłość i z niej wywijająca przecucie przyszłości. Nicość rodzi wyłącznie nicość. Sztuka nie istnieje w próżni. Nicość nie jest jej domeną. Sztuka krzawi się na doświadczaniu świata — zmysłowym, lecz i jednocześnie pozazmysłowym. Wiąże w sobie pierwiastki realistyczne i abstrakcyjne. Opowiada nie o świecie obiektywnym, lecz wyłącznie i tylko subiektywnym. Rzecz jednak w tym — o czym zdajemy się zapominać — że suma tych subiektywnych światów tworzy w ostatecznym rachunku świat obiektywny. Stworzony on został — jaki jest — więc zły czy dobry mocą ludzkiej wyobraźni. Ta zaś zawsze jest subiektywna. Podobnie jak historia. Powinniśmy przeto podtrzymywać mit artysty. Demiurga wywołującego do istnienia byty zasiedlające wyobraźnię. Znaleziliśmy się bowiem znów w epoce wojującego scjentyzmu. I chociaż *nil novi sub love*, to przecież nawet w zimnym rachunku kryje się okrucizna ludzkiego szaleństwa, ludzkiego marzenia. Podobnie jak w Chaosie dojrzewa ziarno Harmonii. Dlatego na zakończenie cytuję fragment wypowiedzi prof. Willisa W. Harmana ze Stanford Research Institute: *Zawsze jestem oczarowany i jednocześnie zasmucony, gdy oglądam ruiny starożytnego Rzymu. Nie sposób nie podziwiać wprost fantastycznych umiejętności technologicznych Rzymian. A mimo to doszli do punktu, w którym nie potrafili już utrzymać w sprawności swych własnych wodociągów, nie mogli naprawiać swych domów. Utracili kontrolę nad stworzoną przez siebie technologią. I patrząc na te ruiny zaczynam obawiać się, że w ciągu bardzo niewielu lat my także możemy dojść do momentu, w którym nie będziemy już w stanie ponownie wystać człowieka na Księżyc²⁾.**

ANDRZEJ TURCZYŃSKI

¹⁾ Jan Bołcz-Antoniewicz, *Katalog ilustrowany Wystawy Sztuki Polskiej 1764—84*, Lwów 1894, s. XVIII—XIX.

²⁾ André Malraux, *Przemijanie a literatura*, tł. Anna Tatarkiewicz, PIW, Warszawa 1982, s. 182.

³⁾ Willis W. Harman, (w:) Wiktor Osiatyński, *Zrozumieć świat*, Czytelnik, Warszawa 1980, ss. 280—281.

CO MIESIĄC NOWELKA KRYMINALNA

Sprawa gwałtu na Izabeli Henker

— Natychmiast stwierdzono, że Izabela Henker, krępką szesnastolatka, zgwałcił w nocy z szóstego na siódmego września, konkretnie około godziny drugiej, Jerzy Mohelejewicz. Oni mieszkali naprzeciw siebie, w tych dwurodzinnych domkach, które stanowią jakby kolonię za spółdzielczym Zatorzem. Każda połowa takiego domu posiada na pierwszym piętrze jedną izbę z dwoma zazwyczaj niedużymi oknami. W jednej z nich, przy ulicy Jana Potockiego 17, rodzice ulokowali Izę. W innej, pod numerem 19, zamieszkał jako sublokator młody nauczyciel fizyki Mohelejewicz. Henkerówna, jak później wyznał z niekorzyścią dla siebie ten ładny brunet, często wystawiała swe nagie i niemałe piersi w okienkach swego mieszkania w jasne, ciepłe dni, a wieczorami laziła gołutka i skapana w silnym świetle lamp po swym pokoju. Owe okienka dzieli przestrzeń o szerokości ośmiu metrów, więc Mohelejewicz mógł studiować wszelkie szczegóły obfitej urody panny Izabeli. Dziewczecze pokazy zaczęły się wiosną tego roku i powtórzyły po wakacjach, w gorące doby pierwszych dni września. Mohelejewicz stwierdził, że ocalał dziewczecze bez oporów, skoro bez żadnych zachęt chciała mu sprawić przyjemność. Mówiąc w ten sposób jakby nie wiedział, że w takich sprawach w śledztwie należy podkreślić wszelki brak zainteresowania urokami seksu. Tymczasem gwałcieleł porażał się zupełnie i smakował owe tłuścieńskie. A przecież kto zobaczył rozebraną częściowo lub zupełnie kobietę, winien uciekać z zamkniętymi oczyma, bo tak jest moralnie i zgodnie z przepisami.

— Zartujesz — powiedziałem do przyjaciela.

— Wcale nie — odrzekł. — Mohelejewicz w przekonaniu wielu ludzi winien był zabić w swoich oknach azbestowo co najmniej kotary, skoro nie miały ich

u siebie panna Izabela Henker, biedna i głupia. Był w tej sprawie, do pewnego czasu, ważny punkt sporny. Otóż gwałcielel do pokoiku na poddaszu mógł się wdrzeć tylko od góry, gdyż na parterze wejścia do paniąki strzegło dwoje drzwi, w tym zaryglowane od podwórza, a w sieni waruje mały lecz ostry pies gotów do urządzenia piekielnego hałasu. Zbrodniarz odbył skomplikowaną drogę: po murku oddzielającym dwa podwórka wszedł na stromy dach i po dachówkach do kominiarskiego wjazdu. Tamteży na stryszek i po chwili stał przed drzwiami do izby dziewczyny. Tych drzwi ofiara żądała nie zamykała, bo i po co, a przynajmniej nie uczyniła tego owej nocy. Badając skrupulatnie przeszłość Mohelejewicza odkryto, że uprawiał niegdyś akrobatykę sportową, co oznacza, że umie chodzić bezszelestnie po dachach. Młoda bestia w kostiumie wychowawcy młodzieży.

— To jeszcze nie dowód!

— Pewnie. Ale Henkerówna zeznała, że dopadł jej we śnie, zbudził brutalnie i przymusił do współżycia właśnie Jerzy Mohelejewicz. Nawet zapalił nocną lampkę, by widzieć te siedemdziesiąt kilogramów dziewczyny w całej krasie. Sparaliżowana strachem nie śmiała dać rodzicom żadnego sygnału. Potem zaś nie mogła, gdyż została owinięta prześcieradłem i zatkana stanikiem. Zwierzę w ludzkiej skórze wy dostało się z domu Henkerów tą samą drogą, co weszło. Lekarz potwierdził uszczerbek na cnoście dziewczyny, niedawny uszczerbek, gdyż zbadano ją dopiero przed południem. Krzyk Izabeli około godziny czwartej, gdyż wówczas zdobyła się na odwagę wypłucia z ust swego biustonosza i wyplątania z prześcieradła, obudził pół ulicy. Tylko w okienkach Mohelejewicza nie zapaliło się światło: przestępca udawał, że o niczym nie wie. Przebierał jednak u siebie i co gorsza już po północy upał pod kranem różne części swojej garderoby. Skazano by go na śmierć.

— Gdyby nie uściubił nosa w ten antypedagogiczny erotyzm!

— Nawet hymn nie wiedział o wydarzeniu. Ale córka sąsiadki, Ewa, przyprowadziła do mnie dwie swoje koleżanki ze szkoły, w której Mohelejewicz uczuł. Tamto szybkie śledztwo w podziemnym przejściu przyniosło mi u sąsiadów niejake uznanie.

— Trzy dziewczyny to już delegacja!

— Właśnie. Przeszły, gdyż były zdania, że Mohelejewicz jest niewinny.

— Wspaniały pedagog, ukochany i mądry nauczyciel fizyki oraz umiarkowany wychowawca. Człowiek o alebokiej wiedzy przekazywanej lekko, łatwo i przyjemnie.

Taki w żadnym wypadku nie może mieć apetytu na wczesne dojrzałości!

— Mylisz się. Same mówiły, że to przeciętny belfer, co trafił do szkoły przez przypadek i zaciemnia na lekcjach podstawowe prawa przyrody. Za to przystojny jak cholera. Za to go bez pamięci i rozumu kochały. Odesłałbym je do diabła, gdyby nie zwyczajna raczej ich argumentacja. A ładne to są dziewczuszki. Otóż powiedziały cynicznie i prawdziwie, że gdyby Mohelejewicz chciał je mieć, to miałby każdą. Wszystkie osiemnaście z klasy trzeciej, czyli pełny wybór młodych piękności w wadze, długości oraz innych urokach. Nie mógł więc polecić na nieznaną mu bliżej grubaszkę, bo i takie były do łatwej dyspozycji. Podczas wycieczek same pchały mu się do łóżka.

— Co za młodzież, a my już tacy starzy. Wiek przypuściłeś, że Izabela Henker mściła się na Mohelejewicz. Za co? Nie była jego uczennicą, nawet nie znał jej, choć mógł oglądać tak dokładnie. Może mściła się za odrzucenie?

— Musiałem i o tym. W każdym razie zachęciłem te uczennice z klasy trzeciej, by przejrzały nieskomplikowane życie ofiary owalutu. I nic: lekcje w zawodówce, praktyka w sklepach, brak przyjaciółek a także chłopców, co lubią dziewczyny przy kości. Nagle jak małe światełko w ciemności informacja, że Izabela Henker była raz w kwietniu na dyskotece z Grzegorzem Grawitowskim, również uczniem tej szkoły, w której Mohelejewicz pracuje. I taki sześć: chłopak jest wujatkowym zaważcą problemów fizyki. Mówią na niego Pauli lub Fermi, jak na geniusza. Dziewczęta powiedziały mi jeszcze coś. Wysłałem

przez nie do chłopaka liścik, w którym zawiadamiłem go, że rozwiązałem pewien problem, częściowo dotyczący fizyki, problem, jak napisałem, dotyczący takich części elementarnych jak Henker, Mohelejewicz, Grawitowski. Przyszedł do mnie ten inteligentny uczeń. Przyznał, że odkryłem prawdę. Uznaliśmy również, że nie mam żadnego sposobu, by prawdy tej dowieść.

— Co ci powiedziały te dziewczyny?
— Ze uczeń głęboko gardzi swym nauczycielem oraz publicznie uważa, iż ucząc fizyki Mohelejewicz powoduje nieodwracalne pomieszczenie w umysłach uczniów. Dla dobra oświaty Grawitowski postanowił mistrza ze szkolnictwa trwale wyeliminować. Widać nie ma innych sposobów na niedobrych nauczycieli. Ze swej strony też nie mało poświęcił: musiał nocą chodzić po dachach i przespać się z dziewczyną tępo wprost proporcjonalnie do swej masy.
— Nie może tak być, by sprawiedliwość nie triumfowała!

— Bo i triumfuje. Henkerowie wycofali skargę o gwałt i przeprosili wszelkie urędy, gdyż chodziło o nieporozumienie związane z ich zięciem magistrem Jerzym Mohelejewiczem, który jest zwolennikiem miłości romantycznej i dlatego łączy po dachach, by straszyć narzeczoną. Może będzie jakieś mądre dziecko z tego małżeństwa.

— A ten chłopak. Ten młody niemożliwy fizyk?

— Fizycy dochodzą do zrozumienia, że wszystkie teorie zjawisk przyrodniczych i wynikające z nich prawa są wyłącznie tworem ludzkiego umysłu.

ANATOL ULMAN

KRONIKA — 15 VIII—14 IX

■ 16 sierpnia obradowała Egzekutywa KW PZPR w Słupsku, na której omówiono stan przygotowania szkół i placówek oświatowych do nowego roku szkolnego. Naukę w szkołach podstawowych podjęło w tym roku 57.594 dzieci. Oddano do użytku trzy nowe placówki — część szkoły podstawowej na osiedlu Budowniczych Polski Ludowej oraz dwa reaktywowane punkty filialne w Grasinie i Niechowie. Przeprowadzono remonty obiektów szkolnych, jednak ograniczone możliwości finansowe nie pozwoliły sprostać wszystkim potrzebom.

■ Z inicjatywy PRON podjęto w województwie akcję Narodowego Czynu Pomocy Szkole. Powstało 21 społecznych komitetów budowy szkół i przedszkoli, które zgromadziły (do połowy sierpnia) ponad 50 mln złotych.

■ „Młodzi i film” — impreza, która wrosła do kulturalnego pejzażu Koszalina została w tym roku zaszczepiona także na słupski grunt. W kinie „Milenium”, w dniach od 23 do 27 sierpnia wyświetlano konkursowe filmy. Po seansach odbywały się spotkania kinomanów z twórcami. Komisarzem imprezy (słupskiej edycji) był Jan Sroka.

■ 3 września rozpoczęły się doroczne obchody „Dni Słupska”. Organizatorzy przygotowali wiele atrakcyj-

KRONIKA — 15 VIII—16 IX

nych imprez, m.in. w kinie „Polonia” wyświetlono 25 najlepszych polskich filmów czterdziestolecia, urządzono ponad 30 ekspozycji prac plastycznych i fotograficznych twórców profesjonalnych i amatorów. Zorganizowano też wiele wystaw typu oświatowego itd. Nie zabrakło także imprez rozrywkowych dla miłośników muzyki rockowej, szarażystów, odbył się festiwal piosenki dziecięcej, maraton tańca, turnieje szachowe, warcabowe i licznie odwiedzany jarmark przed ratuszem.

■ 8 września odbył się inauguracyjny koncert XVIII Festiwalu Pianistyki Polskiej. W imprezie uczestniczyli znani pianiści oraz wielu młodych, dla których słupski festiwal stanowi świetną rekomendację. Na estradzie pojawił się także — po rocznej nieobecności — bardzo lubiany przez słupszczyzn Jerzy Waldorff. Komisarzem imprezy — już po raz siódmy — był Stanisław Turczyk.

■ Spore zainteresowanie i ciekawość (niezdrową?) mieszkańców województwa wzbudzała w sezonie letnim „naga plaża” w Rowach, gdzie znaleźli swoją przystań wypędzeni z Chalup naturyści. Tam także dokonano wyboru Miss Natura 84. Prezes Zarządu Polskiego Związku Naturystycznego Sylwester Marczak zapowiedział, że golasy wrócą tu za rok...

REPERTUARY

SŁUPSKI TEATR DRAMATYCZNY

Słupsk, ul. Wałowa 3, tel. 49-60, 38-39

- „Drugi pokój” i „Rekonstrukcja poety” Zbigniewa Herberta, reżyseria — Jowita Piętkiewicz, scenografia — Barbara Jankowska;
- „O dwóch takich, co ukradli księżyc” Kornela Makuszyńskiego, adaptacja i reżyseria — Bogusława Czosnowska, scenografia — Jadwiga Pożakowska, kostiumy — Zak-Iszoro, muzyka — Andrzej Głowiński, choreografia — Zygmunt Kamiński;
- „Ostry dyżur” J. Lutowskiego, reżyseria — Ryszard Jaśniewicz, scenografia Wanda Fik-Palkowa, opracowanie muz. — Bohdan Jarmolowicz;
- „Król Edyp” Sofoklesa, reżyseria — Ryszard Jaśniewicz, scenografia — Ryszard Strzembala, muzyka — Bohdan Jarmolowicz;
- „Ljubica — pierwsza osoba liczby mnogiej” wg M. Viceticia, monodram w wykonaniu, reżyserii i scenografii Magdy Szkopówny-Bartoszek.

PAŃSTWOWY TEATR LALKI „TECZA”

Słupsk, ul. Waryńskiego 2, tel. 39-35, 87-94

- „Bajka całkiem nowa” — wg J. Tuwima i J. Brzechwy, reżyseria — Zofia Miklińska, scenografia — Krzysztof Grzesiak, opracowanie muz. Marian Radzikowski;
- „Damroka i Gryf” Natalii Gołębskiej, reżyseria Zofia Miklińska, scenografia Ali Bunsch, muzyka — Jerzy Partyka.

BIURO WYSTAW ARTYSTYCZNYCH

Słupsk, ul. Pawła Findera 3, tel. 40-41
Baszta Czarownicy, ul. Francesco Nullo

- Awangarda medalierstwa polskiego 1944—1984 (ze zbiorów Muzeum Sztuki Medalierstwa we Wrocławiu). Wystawa czynna do 21 października.
- Małe formy graficzne — prace z festiwalu małej grafiki z Łodzi. Wystawa czynna cały miesiąc.

MUZEUM POMORZA ŚRODKOWEGO

Słupsk, ul. Dominikańska 5, tel. 40-81

- Sztuka dawna Pomorza w XIV—XVIII w.,
- „Portrety” S. I. Witkiewicza,
- Wyroby konwiarskie — ze zbiorów własnych,
- Nurt geometryczny we współczesnym malarstwie polskim.

B U K

foran wapienia.
Ameryki: 14) mineral. fos-
z... do bogatym wujku z
czas błąka: 13) pochylność pod-
89): 12) mieszkanie pod-
kronikarz i historyk (1512—
rowaniem: 11) Marcin —
bieta zajmująca się grawe-
wzbudzająca wstręty: 9) ko-
nej: 8) istota brzydka.
baluch: 5) u sukni słub-
tacyjny: 4) flejtuch, nied-
ki teatralnej: 3) siłnik ro-
PIONOMO: 2) część sztu-

ga do przebycia.
nki mundurowe: 19) dro-
Melpomeny: 18) nramien-
warian: 17) przybylek
smo do pozwanego: 16)
daj gry w karty: 15) pi-
za: 10) wawryn: 11) ro-
tek rzecznicy do spławu zbo-
zakątek: 7) staropolski sta-
prezent: 6) zaciężne.
POZOMO: 1) jaskrawe

DUET KRZYŻÓWKOWY



Taki w żadnym wypadku nie m apetytu na wczesne dojrzałki!

— Mylisz się. Same mówiły, że ciętny belfer, co trafił do szko przypadku i zaciemnia na lekcje stawowe prawa przyrody. Za to ny jak cholera. Za to go bez p rozumu kochały. Odesłałbym je d gdyby nie zwyczajna raczej ich c tacja. A ładne to są dziewczuszki. wiedziały cynicznie i prawdziwie, by Mohelejewicz chciał je mieć, t każdą. Wszystkie osiemnaście trzeciej, czyli pełny wybór młody ności w wadze, długości oraz inn kach. Nie mógł więc polecić na mu bliżej grubaszkę, bo i takie łatwej dyspozycji. Podczas wycieć pchały mu się do łóżka.

— Co za młodzień, a my już ta! Wied przypuściłeś, że Izabela mściła się na Mohelejewicz. Za była jego uczennicą, nawet nie choć mógł oglądać tak dokładn mściła się za odrzucenie?

— Musiałem i o tym. W każd zachęciłem te uczennice z klasy bu przejrzały nieskomplikowan ofiary awantu. I nic: lekcje w za praktyka w sklepach, brak prz a także chłopców, co lubią dz przu kości. Nagle jak małe świ ciemności informacja, że Izabela była raz w kwietniu na duskotec gorzem Grawitowskim, również tej szkoły, w której Mohelejewicz I taki szczęści: chłopak jest wuj znawca problemów fizyki. Mówią Pauli lub Fermi, jak na geniusza częta powiedziały mi jeszcze coś.

KRONIKA — 15 VIII—1

■ 16 sierpnia obradowała Egzekutywa w Słupsku, na której omówiono stan pr szkół i placówek oświatowych do nowego nego. Naukę w szkołach podstawowych tym roku 57.594 dzieci. Oddano do użyt placówki — część szkoły podstawowej na downicznych Polski Ludowej oraz dwa re punkty filialne w Grasinie i Niechowie. dzono remonty obiektów szkolnych, jednal ne możliwości finansowe nie pozwoliły sp stkim potrzebom.

■ Z inicjatywy PRON podjęto w wojewo Narodowego Czynu Pomocy Szkole. Powst lecznych komitetów budowy szkół i przed zgromadziły (do połowy sierpnia) ponad tych.

■ „Młodzi i film” — impreza, która wr turalnego pejzażu Koszalina została w zaszczepiona także na słupski grunt. W lenium”, w dniach od 23 do 27 sierpnia konkursowe filmy. Po seansach odbywały nia kinomanów z twórcami. Komisarzy (słupskiej edycji) był Jan Sroka.

■ 3 września rozpoczęły się doroczne ol Słupska”. Organizatorzy przygotowali wie

Młyn Zamkowy

- Kultura i sztuka ludowa Pomorza,
- Skarby ksiąg pomorskich,
- zdobnictwo żelaza i skóry na Podta-trzu.

KLUB MIĘDZYNAROWOWEJ PRASY I KSIĄŻKI

Słupsk, pl. Armii Czerwonej, tel. 66-07

- Wystawa poplenerowa „Zapis graficz-ny w skórze” — Krzynia 84,
- Recital Haliny Czerny-Stefańskiej (5 X). Słowo wstępne — Tadeusz Szantru-czek.

WOJEWÓDZKI DOM KULTURY

Słupsk, ul. Pawła Findera 3, tel. 40-31

- Dożynki wojewódzkie (21 października, Hala „Gryfii”, godz. 12). W części ar-tystycznej wystąpi Krystyna Giżow-ska i jej przyjaciele oraz SGB „Ara-beska”,
- Spotkanie dzieci z Janem Piepką (w trzeciej dekadzie października w klubie WDK),
- Popołudnie z rozrywką (29 paździer-nika) organizuje Klub szaradzystów,
- Spotkanie z oficerami WP (13 paź-dziernika, w klubie WDK).

STOWARZYSZENIE SPOŁECZNO-KUL-TURALNE „POBRZEŻE”

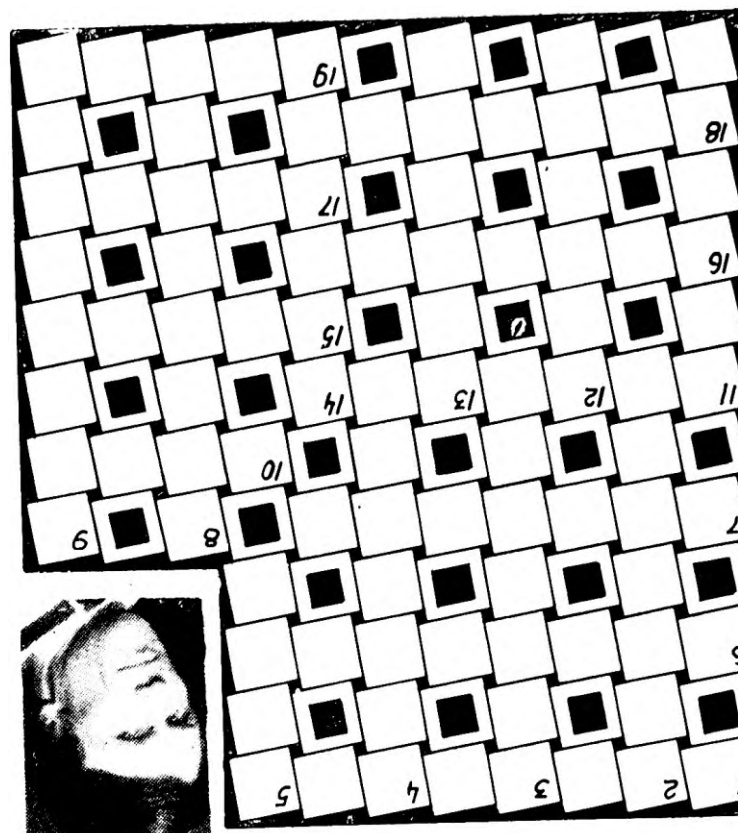
Słupsk, ul. Zamenhova, tel. 83-13, 38-05

- W ramach Października Literackiego liczne spotkania w szkołach, klubach i bibliotekach z pisarzami i krytyka-mi literackimi. Swoją udział zapowie-dzieli literaci słupscy oraz znani w kraju, m. in. Wojciech Giełżyński, Le-szek Zuliński, Janusz Zernicki, Cze-sław Kuriata, Barbara Dochnalik. W Dekadzie Książki Politycznej „Pobrze-że” proponuje spotkania z pisarzami i dziennikarzami prasy krajowej i miej-scowej.

ROZWIĄZANIE DUETU KRZYŻÓWKOWEGO Z NRU 9

I. Poziomo: — strażnik, Festiwal, fu-tryna, siew, parawan, urząd, prezent, rad-na, Ogiński, anons. Poziomo: — tresura, aktorka, nowinka, kult, liczydło, kwadrans, pawroć, rzepik, wiersz, nutria.

II. Poziomo: — kontrola, witaminy, ar-mator, zima, wirtuoz, bania, estrada, Ro-sja, czereda, żwacz. Pionowo: — obierki, trabant, Orinoko, anyż, pianista, kalamarz, wierch, ratler, ułamek, Zbaraż.



DUET KRZYŻÓWKOWY

POZIOMO: 1) odwrot-ność powolności; 6) przy-wara jednego z bohaterów molierowskich komedii; 7) teściowa — dawniej; 10) model; 11) równia — w znaczeniu jednostek mone-tarnych; 15) taniec towa-rzyski; 16) postrzał, ale lędzwiowy; 17) ochronny kolor mundurów wojsko-wych; 18) wytworny strój kobiecy; 19) potentat finan-sowy — w przenośni.

PIONOWO: 2) przedmiot odkuty z metalu na gorą-co; 3) różnego rodzaju pi-sma, dokumenty; 4) muza pieśni lirycznej; 5) tytuł sztuki, granej przez Teatr Wybrzeża w Słupskim Te-atrze Dramatycznym; 8) miejscowość letniskowa nad Ropą; 9) rodzaj tkaniny syntetycznej; 11) służy ar-tyście malarzowi do roz-rabiania i mieszania farb; 12) rumianek rzymski; 13) figura geometryczna; 14) narzędzie chirurgiczne.

BUK

POZIOMO: 1) jaskrawe przeciwieństwo; 6) zaciszę, zakątek; 7) staropolski sta-tek rzeczy do spławu zbo-za; 10) wawrzyn; 11) ro-dzaj gry w karty; 15) pi-smo do pozwanego; 16) wariant; 17) przybytek Meipomeny; 18) nramien-niki mundurów; 19) dro-ga do przebycia.

DUET KRZYŻÓWKOWY

